Teatr dla wszystkich
Nr. 1.

Grube ryby

KOMEDYA W TRZECH AKTACH

PRZEZ

MICHAŁA BAŁUCKIEGO

LWÓW — WARSZAWA
NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO.
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.

TEATR DLA WSZYSTKICH.

Nr. 1.

Grube ryby

KOMEDYA W TRZECH AKTACH

PRZEZ

MICHAŁA BAŁUCKIEGO

LWÓW.

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO

NEW YORK — POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.

OSOBY:

ONUFRY CIAPUTKIEWICZ, emeryt.
DOROTA, jego żona.
WANDA, ich córka.
BURCZYŃSKI, obywatel.
HELENA, jego córka.
WISTOWSKI, kapitalista.
HENRYK, jego bratanek.
PĄGATOWICZ, radca sądowy.
FILIP, służący Ciaputkiewiczów.

Rzecz dzieje się w domu Ciaputkiewiczów.

KIEROWNIK LITERACKI: **HENRYK CEPNIK.**

Odbito czcionkami drukarni „Prasa“ we Lwowie ul. Sokoła 4.

AKT I.

Pokój obszerny. Na lewo stolik do kart, na prawo biurko, w środku stół okrągły, krzesła. w głębi klawikord, zegar; drzwi po bokach i w głębi,

SCENA PIERWSZA

ONUFRY, DOROTA, *później* FILIP.

(*Onufry drzemie z gazetą w ręku w fotelu na lewo. Dorota z pończochą na kolanach na prawo. Za podniesieniem kurtyny długa pauza, potem, słychać mocne dzwonienie w przedpokoju*).

DOROTA. (*zrywa się przestraszona*). Wszelki duch Pana Boga chwali! (*spogląda na drzwi i męża*).

ONUFRY. (*zrywając się*). Co się stało?

DOROTA. (*z oburzeniem*). Ktoś dzwoni!

ONUFRY. O tej godzinie?

DOROTA. Niesłychana rzecz!

ONUFRY. Od dziesięciu lat jeszcze mi się to nie przytrafiło, żeby wtedy, kiedy ja odprawiam poobiednią drzemkę, ktoś śmiał dzwonić.

DOROTA. I to tak mocno. Ja to odchoruję z pewnością—migrena na wieczór, jak amen w pacierzu.

ONUFRY. Ale że Filip pozwolił (*do wchodzącego*). Mój Filipie, cóż to znaczy?

FILIP. (*oddając telegram*). Z telegrafu, proszę pana.

ONUFRY. To nie mógł sobie błazen poczekać?

FILIP. Powiada, że to pilne.

ONUFRY. Pilne, pilne. Teraz ci ludzie chcieliby mieć wszystko na wyskoki. Dawniej nie mieliśmy ani telegrafów, ani tych głupich kolei, a przecież nam się

tak nie spieszyło. Był czas na wszystko, a teraz...

FILIP. Proszę pana, trzeba podpisać tę cedułę, bo czeka.

ONUFRY. Przecież się nie pali, żeby tak na gwałt... zaraz (*idzie do biurka*)... gdzież te moje okulary — pióro (*podnosi z ziemi*), wszystko mi z rąk leci z tego pośpiechu.

DOROTA. Żeby też tak nagle kogoś budzić Ja się jeszcze cała trzęsę.

ONUFRY. (*podpisawszy*). Na masz, a powiedz temu błaznowi, że jak mi jeszcze raz coś podobnego zrobi, to to — no to ja mu już będę wiedział co zrobić. (*Filip wychodzi*). Właściwie mówiąc, to ja mu nawet za to nie mogę nic zrobić, bo oni teraz panami świata.

DOROTA. Cóż znowu? Posługacze!

ONUFRY. A jak Boga kocham, od czasu, jak zaprowadzili te koleje, telegrafy, djabły, historye, to człowiek niewolnikiem w swoim własnym domu. Lada dureń, oto taki na przykład chłystek z telegrafu, przyjdzie ci choćby w nocy, tłucze się do drzwi, choćbyś spał w najlepsze, i jeszcze mu za to trzeba dać na piwo. Albo te koleje! Pakują człowieka jak śledzia do skrzynki...

DOROTA. Od kogóż, duszyczko, telegram?

ONUFRY. A prawda, jeszczem nie otworzył (*otwiera i mówi z uciechą*). Od Wandy.

DOROTA. Od naszej kochanej wnuczki. Cóż donosi? (*zbliża się*).

ONUFRY (*czytając*). „Z powodu szkarlatyny“...

DOROTA. Co? Chora na szkarlatynę! Jezu Nazareński!

ONUFRY. Ależ nie, tylko szkarlatyna pokazała się na pensyi i dlatego panienki rozpuszczono do domu.

DOROTA. Ach! to doskonale!

ONUFRY. (*do wchodzącego Filipa*). Filipie, daj mu tam na piwo.

FILIP. Kiedy już poszedł.

ONUFRY. To biegnijże za nim! Na masz! (*Filip wychodzi*). A cóż to za znakomita rzecz te telegrafy! To boski wynalazek! Ileby to czasu dawniej było potrzeba, zanimbyśmy się dowiedzieli, że nasza kochana Wandziuchna przyjedzie.

FILIP (*który wrócił właśnie*). Co? Nasza panienka przyjeżdża? Toż to będzie uciecha!

ONUFRY. Prawda stary? Inne to będzie życie.

DOROTA. Trzebaby jej pokój przygotować.

ONUFRY. A to poco? będzie sypiać z nami, jak dawniej.

DOROTA. Ależ nie pleć, nie pleć. Przecież to już nie dziecko, tylko panna dorosłą. Gdzieżby mogła przy tobie...

ONUFRY. No to cóż z tego — ja stary.

DOROTA. Ale cóż znowu, nie wypada.

ONUFRY. No to... to... w mojej kancelaryi, tam jej będzie wygodnie, cichutko.

DOROTA (*niezadowolona*). Tak, tylkoby ją trzeba przewietrzyć, bo fajką przesiąkła cała.

ONUFRY. No to właśnie dobrze. Będzie miała przyjemny aromacik w pokoju.

DOROTA. Takżebyś ją uraczył! Ona fajki nie znosi.

ONUFRY. Kto! Wandziunia? A toż ona przepada z fajką. Nie pamiętasz to, jak mi zapalała, to zawsze sobie parę dymków puściła przy tej sposobności.

DOROTA. Bo widziała, że cię to bawi — ale teraz z pewnością nie lubi tego.

ONUFRY. Dorciu, bój się Boga, jak można fajki nie lubić? Zobaczysz, że Wandzia to lubi.

DOROTA. A ja ci powiadam, że nie lubi.

ONUFRY. A ja ci powiadam, że lubi.

DOROTA. Kiedy ty, Nufciu, tobyś się przy najmniejszej rzeczy chciał sprzeczać.

ONUFRY. Ja się sprzeczam? To ty się sprzeczasz.

DOROTA. Ja tylko powiadam, że ona fajki nie lubi; kwiatki, to nie mówię (*do Filipa*). Weźmiesz kilka wazoników z mego pokoju.

ONUFRY. I zegar z komody.

DOROTA. I klatkę z kanarkami.

ONUFRY. (*skrobiąc się za uchem niezadowolony*). Hm, to znowu jej spać nie dadzą, jak się zaczną drzeć.

DOROTA. (*z wyrzutem*). Mój Nufciu!

ONUFRY. No, no, już nic nie mówię, ale zobaczysz, że będzie miała z tego tylko codzień migrenę... Takie ciągłe świergotanie...

DOROTA. Że ty nie lubisz, to jeszcze nie racja. Przecież przyjemniej w pokoju, jak się coś rusza, odzywa.

ONUFRY. No to będzie miała zegar. Tik, tak — tik, tak — czy może być co jeszcze przyjemniejszego? Na co tu jeszcze kanarków?

DOROTA. Zobaczysz, że ona będzie wolała kanarki.

ONUFRY. Chyba z grzeczności dla ciebie będzie znosić ich hałasy.

DOROTA. Nufciu, znowu!..

ONUFRY. Ja tylko tak sobie mówię.

FILIP. Jak kanarki będą hałasować, to się je nakryje.

ONUFRY. Prawda, nakryje się i basta. A! słuchaj Filipie, trzebaby jej mieszkanko jakoś ładniej umeblować. Dasz jej ten garniturek niebieski.

DOROTA. I lustro z nad kanapy.

ONUFRY. I to krzesło huśtające.

DOROTA. I moje biureczko.

ONUFRY. I serwantkę z porcelaną.

FILIP. To panienka nie będzie się miała gdzie ruszać, jak się to wszystko tam wniesie.

ONUFRY. Nic nie szkodzi. Jak się będzie chciała ruszać, to przyjdzie do nas, Skorzystamy na tem, prawda, Dorciu?

DOROTA. Musimy się nacieszyć nią za wszystkie czasy.

FILIP. A kiedyż panienka przyjeżdża?

ONUFRY. A, prawda, nie wiemy kiedy?

DOROTA. Musi tam stać.

ONUFRY. (*bierze telegram*). A prawda, zaraz zobaczymy (*czyta*). „Przyjeżdżam dziś“.

FILIP. To już za małe pół godziny, bo pociąg przychodzi o wpół do szóstej.

DOROTA. Chryste Jezu! — a niechże ja lecę (*wychodzi na prawo*).

ONUFRY (*żywo*). Filipie, mój surdut, prędzej (*zrzuca szlafrok*).

FILIP (*podaje surdut*). Toż to będzie u nas wesoło teraz jak panienka wróci!

ONUFRY (*wiąże krawat*). Ciekawym czy się teraz bardzo odmieniła — może już mnie przerosła.

FILIP. E!

ONUFRY. A cóż ty myślisz? Panny teraz to rosną szybko, jak żydowska lichwa.

FILIP. Czy mnie też pozna, bo to przecież już kilka lat — człowiek się postarzał.

ONUFRY. O! Przy niej to odmłodniejesz, zobaczysz stary. Ona nas tutaj wszystkich rozrusza. Gdzież u licha rękaw?...

FILIP. Tu panie! To prawda, panienka niby żywe srebro.

ONUFRY. W matkę się wrodziła. A jaka miła swawolnica. Pamiętasz, stary, jakiego to ona figla wypłatała nam z tą wazą?

FILIP. Na prima aprilis. Jakżebym nie pamiętał!

ONUFRY. Nam, panie, aż ślinka lezie na szczawiową zupę, pani podnosi pokrywkę (*śmiejąc się do łez*), a tu — zamiast zupy — wróble — i fru... fru po całym pokoju.

FILIP. Co to było śmiechu, ażeśmy się kładli.

ONUFRY. Albo z tym nauczycielem muzyki, to także było paradne, co to mu wpakowała do kieszeni fartuszek zamiast chustki do nosa. On, panie, wyjmuje...

DOROTA (*w futrze i kapeluszu*). Cóż to, jeszcześ nie gotów. Nufciu, bój się Boga!

ONUFRY. Duchem będę! Filipie, prędko kapelusz, laskę.

DOROTA. A niech Filip tymczasem nastawi samowar.

ONUFRY. I możeby coś z mięsa przygotować przed kolacyą. Będzie pewno głodna z drogi.

DOROTA. Niech Walentowa zrobi parę bitych kotletów.

ONUFRY. Chyba siekanych duszko, bo Wanda bitych nie lubi.

DOROTA. To zapomniałeś, aniołku, — siekanych nie lubi.

ONUFRY. Jak cię kocham, tak ona tylko siekane, przecież pamiętam dobrze.

DOROTA. Nufciu, jak cię kocham, tak bite.

FILIP (*patrzy na zegar*). Żeby się tylko państwo nie spóźnili na kolej.

ONUFRY. Za pięć minut wpół, gwałtu, jedźmy! Nie zapomnij Filipie, siekane (*wychodzi*).

DOROTA. Bite, pamiętaj, bite (*wychodzi*).

FILIP. Bite, siekane, siekane, bite, — kogoż tu słuchać? Najlepiej zrobię, jak każę Walentowej zrobić i siekane i bite, a sam skoczę do sklepu po kasztany pieczone, bo ona to pasjami lubiła — i co to jeszcze? A, chleb świętojański. Zawsze mówiła, że jak zostanie wielką panią, to sobie kupi całą furę świętojańskiego chleba. Kupię jej tego sporo i włożę pod poduszkę; jak jutro rano zobaczy, to jej będzie przyjemnie, że stary Filip nie zapomniał o jej gustach.

SCENA DRUGA. FILIP, WISTOWSKI, *później* PAGATOWICZ.

WISTOWSKI (*nadzwyczaj starannie ubrany, gors mocno wykrochmalony ze spinkami, złota lornetka, pierścienie, łańcuch u zegarka z brelokami, laska ze złotą gałką, którą w usta wkłada, sztywny, pretensyonalny. Mówi przez nos z pewną dosadnością*). Cóż to, pana Pagatowicza jeszcze niema?

FILIP. Nie, proszę pana.

WISTOWSKI. I stolik do kart jeszcze nie przygotowany!

FILIP. Gdzie nam ta dzisiaj karty w głowie!

WISTOWSKI. Przecież już wpół do szóstej minęło, to nasza zwykła godzina. Gdzież gospodarz?

FILIP. Pan pojechał z panią na kolej.

WISTOWSKI. Na kolej? A tam poco;

FILIP. Nasza panienka dziś przyjeżdża.

WISTOWSKI. Panienka? Co za panienka?

FILIP. Panna Wanda, wnuczka naszych państwa.

WISTOWSKI. Państwo Ciaputkiewiczowie mają wnuczkę?

FILIP. I to dorosłą.

WISTOWSKI. Pierwszy raz o tem słyszę.

FILIP. Bo panienka chowała się na pensji. Taka była wola nieboszczyka jej ojca.

WISTOWSKI. A to śliczna historja! (*Do wchodzącego*). Panie Pagatowicz, słyszałeś pan?

PAGATOWICZ. Co takiego?

WISTOWSKI. Ciaputkiewiczowie mają wnuczkę. która dzisiaj przyjeżdża.

PAGATOWICZ. Tam do licha, to nasz wist przepadł na dzisiaj.

WISTOWSKI. Może i na dłużej (*do Filipa*), bo ona tu zapewne myśli dłuższy czas bawić, co?

FILIP. A to się rozumie. (*Spojrzawszy na zegar*). Szósta, masz tobie, a samowąr jeszcze nie nastawiony (*wychodzi na prawo*).

PAGATOWICZ. (*sławia kapelusz i laskę*). O, to nam zepsuje cały porządek. A tak przyjemnie schodziły nam tu wieczory, co dzień — jak zapisał — partyjka: to wiścik, to taroczek. Było czem czas zabić. Teraz kto wie, jak będzie.

WISTOWSKI. Ja się tu więcej nie pokążę.

PAGATOWICZ. No, to znowu nie, bo przecież...

WISTOWSKI. Jak uczciwość kocham, nie myślę bywać tu więcej.

PAGATOWICZ. A to dlaczego?

WISTOWSKI. Z zazady.

PAGATOWICZ. Z zasady.

WISTOWSKI. Tak, z zasady nie bywam w domach, gdzie są panny dorosłe.

PAGATOWICZ. A to z jakiego powodu?

WISTOWSKI. Zaraz to panu wytłómaczę (*siadają*). Czy wiesz pan, co to są grube ryby?

PAGATOWICZ. A no karpie, szczupaki...

WISTOWSKI. W znaczeniu ogólnem, ale w przenośni, grube ryby, to my.

PAGATOWICZ. Jakto, i ja gruba ryba?

WISTOWSKI. Pan i ja, i wogóle każdy człowiek nie żonaty z majątkiem i wyrobioną pozycją, który może żonie zapewnić dobry los, piękne utrzymanie; słowem, to co nazywamy dobrą partją.

PAGATOWICZ. Aha, rozumiem.

WISTOWSKI. Owóż, uważasz pan, jak taka gruba ryba pokaże się w domu, gdzie są panny na wydaniu, zazaz mama, ciocie i opiekunowie usiłują go złapać na męża Zaczynają się swatania, namowy, słowem formalne polowanie. Czy panu nie przytrafiło się nigdy coś podobnego?

PAGATOWICZ. Tak na razie, to sobie rzeczywiście nie przypominam.

WISTOWSKI. Toś pan szczęśliwy. A ja panie, raz wraz przechodziłem podobne historje.

PAGATOWICZ. Więc pan jesteś nieprzyjacielem płci pięknej?

WISTOWSKI. Nieprzyjacielem, uchowaj Boże! Było się przecież nawet trochę donżuanem — bałamuciło się mężateczki... Tak, tak, panie Pagatowicz, bo nie chwalący się, miałem szczęście do płci pięknej, ale co do małżeństwa, to nigdy nie miałem ochoty.

PAGATOWICZ. Nie? I dlaczego?

WISTOWSKI. Bo ja lubię niezależność i nieczuję najmniejszego powołania na ojca rodziny. Zresztą mój panie Pagatowicz, jak się zjadło dobre śnia-

danie to się bardzo łatwo można obejść bez obiadu. Prawda?

PAGATOWICZ. Zkąd ja to mogę wiedzieć, kiedy nigdy takiego śniadania nie kosztowałem i dotąd bez obiadu się obchodzę.

WISTOWSKI. Więc pan także nie myślałeś nigdy o małżeństwie?

PAGATOWICZ. Owszem, myślałem i bardzo wiele, ale się tylko na myśleniu skończyło. Pan wiesz jak to u nas urzędników: im mniej zębów, tem więcej chleba. Teraz mógłbym się żenić, bo i pensyjka niezła, i po ciotce ładna sukcesyjka mi się dostała, ale którażby mnie dzisiaj chciała?

WISTOWSKI. Na kopy pan takie znajdziesz.

PAGATOWICZ. Tak, ale to już chyba nie dla mnie samego, ale dla mego majątku.

WISTOWSKI. To się rozumie: dla tego, że pan jesteś grubą rybą.

PAGATOWICZ. Dziękuję ślicznie za to. A mnie po co tego kłopotu na starość? Ja, panie słabowity. Katar żołądka — tak, tak. Co tylko zjem — to zaraz, z przeproszeniem takie churkotanie, gniecenie tu i tu, i raz zimno, raz gorąco, że desperacja. Dlatego wziąłem urlop na parę tygodni i myślę jutro pojechać do Wiednia poradzić się jakiego specjalisty.

WISTOWSKI. Wyjeżdżasz pan? To może i ja wybiorę się do Lwowa. Mam tam bratanka, na którego włożyłem obowiązek utrzymania rodu Wistowskich. Napisałem mu właśnie w tych dniach, że jeżeli sobie wybierze żonę podług mego gustu, zrobię go uniwersalnym spadkobiercą moim. Ale zastrzegłem sobie wyraźnie, że podług mego gustu, bo ja, panie, stary koneser, będę umiał wybrać matkę dla przyszłych Wistowskich.

SCENA TRZECIA.

CIŻ, FILIP, ONUFRY, DOROTA, WANDA, HELENA.

FILIP. Otóż i nasza panienka przyjechała (*otwiera drzwi*). Dwie, jak mi Bóg miły, dwie. A to cudowne rozmnożenie!

(*Wchodzą Wanda i Helena, pootulane tak, że im prawie nic twarzy nie widać; za niemi Onufry i Dorota w wesołym humorze*).

DOROTA. No, teraz rozbierajcie się swawolnice.

HELENA. (*piszczącym głosem*). O, nic z tego! Proszę pierwej poznawać.

ONUFRY (*do Wistowskiego i Pagatowicza*). No, przypatrzcież się, nie figlarki to; przyjechały tak poutulane, jak je tu widzicie, i bawią się z nami w zgadywanego.

DOROTA. A jak tu poznać, kiedy obie jednako całują i ściskają. O, jeszcze się śmieją swawolnice.

ONUFRY (*do Wistowskiego*). Wyraźnie, panie, jak na reducie (*usiłując być serjo*). No, panny, dosyć już tej maskarady — rozbierajcie się, bo się pogrzejecie i dostaniecie kataru. No, prędzej, ja tu z wami nie będę żartów stroił (*zbliża się do Wandy*). Dawaj szal (*chce jej zdjąć*).

WANDA (*usuwając się*). O, nic z tego, niech dziadzio pierwej zgaduje.

ONUFRY (*uradowany*). Dziadzio! A widzisz, figlarko, złapałaś się!

DOROTA. Wandzia najdroższa, oj ty, ty, tak nas zwodzić (*ściska ją i rozbiera*).

WANDA. Ha, kiedym się wydała, to się przyznam, że to ja.

ONUFRY. Bagatela!

WANDA. Ale zgadnijcie, kto ta druga.

DOROTA (*oglądając Helenkę*). Czy ja wiem?..

ONUFRY. Widocznie taka sama psotnica, jak ty (*zagląda jej w oczy i mówi do Wandy*). Czy ją znamy?

WANDA. O, i bardzo dobrze!

ONUFRY. Ślepka błyszczące, ktoby to mógł być?

WANDA. Chrześnica dziadzi.

ONUFRY. Toś mi też wiele pomogła! Ja miałem chrześnic, żeby ich na palcach nie zliczył... Może Adelka Filipska?

WANDA. Adela przecie o wiele starsza.

ONUFRY. A któż to pozna, kiedy jej nawet w ząbki zajrzeć nie można.

WANDA. Pokaż dziadzi ząbki, Helenko.

DOROTA. Helenka!

ONUFRY. Helenka Burczyńska.

HELENA. (*odsłaniając się*). Ta sama (*ściska Onufrego i Dorotę*).

ONUFRY. Że też mi to zaraz na myśl nie przyszło, te błyszczące ślepka... (*rozbiera ją*).

WANDA. (*do Filipa, który zabiera ich rzeczy*). A! Filip poczciwy, jak się macie?

FILIP (*uradowany*), Panienka mnie poznała (*całuje ją w rękę i kłania się jej w chwili, gdy z nim rozmawia po cichu*).

ONUFRY (*do Doroty, wskazując na Helenkę*). Patrzno Dorciu, jak ona wyrosła. Takie to było zawsze jak węzełek.

DOROTA. A zkądżeś się ty tu wzięła?

HELENA. Uciekłam razem z Wandą z pensyi przed szkarlatyną. Telegrafowałam do ojca, że tu będę czekać na niego (*filuternie*), jeżeli mnie państwo przyjmiecie?

DOROTA. Słyszysz, Nufciu, jeżeli ją przyjmiemy? To figlarka!

ONUFRY. A od czegoż ja ci ojcem chrzestnym (*całuje ją*).

WANDA (*rozglądając się*). Jak tu dobrze — jak miło. Nic się nie zmieniło; ten sam zegar, te same meble, to fotel dziadunia, tylko to jakoś wszystko pomalało.

FILIP. He, he, meble nie pomalały, tylko panienka urosła.

WISTOWSKI (*do Pagatowicza*). My tu, jak widzę, całkiem zbyteczni (*chrząkając, biorą za kapelusze*).

ONUFRY. A prawda nie przedstawiłem was jeszcze naszym gościom. Nasza wnuczka Wandzia, pan Wistowski.

WANDA. Czy nie ze Sławkowic?

ONUFRY. A tak, ze Sławkowic. Tylko teraz przerobił się na mieszczucha.

WANDA (*do Heleny*). Stryj Henryka.

ONUFRY. Pan Pagatowicz, radca sądu, nasz przyjaciel.

HELENA. A o mnie ojczuś chrzestny zapomniał?

ONUFRY. A prawda, Helenka Burczyńska.

PAGATOWICZ. Bardzo mi miło. Czy przypadkiem nie córka pana Jana?

HELENA. Tak, pan zna mojego ojca?

PAGATOWICZ. I pannę Helenę znałem jeszcze taką maleńką, nosiłem nieraz na rękach.

ONUFRY. Terazby to było trudniej.

HELENA. To może to pan byłeś, co jakieśmy mieszkali jakiś czas w mieście, bywałeś tak często w domu moich rodziców; to pan może przynosiłeś mi zabawki?

PAGATOWICZ. A ja — ja!

HELENA. Panu na imię Hilary?

PAGATOWICZ. Do usług.

HELENA. O! to ja sobie pana bardzo dobrze przypominam.

ONUFRY. Po cukierkach.

HELENA. A rzeczywiście. Ile razy potem jadłam cukierki, to mi pan zawsze na myśl przychodziłeś.

PAGATOWICZ (*uradowany, n. s.*) Lube dziewczę.

HELENA. Pamiętam, że pan zawsze mojej mamie załatwiałeś sprawunki i mama utrzymywała, że nikt tak nie zna się na tem, jak pan.

PAGATOWICZ. Pani pamięta to jeszcze?

HELENA. Ah, jak doskonale! To ten pan, o którym ci nieraz mówiłam.

ONUFRY. Filipie, a rzeczy panienek?

FILIP. Prawda, rzeczy (*wychodzi środkiem*).

ONUFRY. Prosto do kancelarji, ja tam idę (*wychodzi na prawo*).

PAGATOWICZ (*ucieszony zażywa tabakę i mówi na stronie do Wistowskiego*). Mówiła nieraz o mnie, słyszałeś pan? Poczciwa dziewczyna. To taki mały był berbeć, powiadam panu, a teraz się taka piękna panna z tego zrobiła. Ale i ta druga niczego. Zkądże ona zna pana?

WISTOWSKI. Chyba z szematyzmu. Może ich uczą tego na pensyi teraz, żeby wiedziały, gdzie szukać kandydatów na mężów.

PAGATOWICZ. (*zgorszony*). E, cóż znowu!

DOROTA. Ale wy pewnie głodne, każę wam podać co tymczasem.

HELENA. O, ja ślicznie dziękuję!

WANDA, I mnie nic a nic jeść się nie chce. Babuniu, zaczekamy do kolacji.

HELENA (*do Pagatowicza, siadając przy nim*). Pan dawno się widział z moim ojcem?

PAGATOWICZ. O, już bardzo dawno.

HELENA. To się tatko ucieszy, jak pana zobaczy; jutro przyjeżdża po mnie.

PAGATOWICZ. Kiedy ja jutro rano wyjeżdżam do Wiednia.

HELENA Jutro? Ah, jaka szkoda! Ojciec będzie bardzo żałował i ja także, bo nawet nie będę mogła nacieszyć się panem po tak długiem niewidzeniu.

PAGATOWICZ. Cóż robić, kiedy trzeba.

WISTOWSKI. Panie Pagatowicz, pan zostajesz?

PAGATOWICZ. A pan?

WISTOWSKI. Ja muszę pożegnać panie.

ONUFRY (*wracając*). Jakto, odchodzicie? Ale cóż znowu, nie puszczę was.

WISTOWSKI. Kiedy bo...

WANDA. Bośmy gotowe pomyśleć, że panowie przed nami uciekają. A to byłoby nam bardzo przykro, że wystraszamy dziadkom gości z domu.

ONUFRY. A to filut dziewczyna! No kiedy panny proszą, nie możecie przecie odmówić.

PAGATOWICZ. Skoro tak, to zostaję.

HELENA. Nagadamy się za wszystkie czasy.

ONUFRY. A pan Wistowski?

WISTOWSKI. Ale...

ONUFRY. Niema żadnego ale, aresztujemy pana i kwita. Wandziu, zabierz kapelusz — tak — teraz musisz pan zostać.

WISTOWSKI (*do Pagatowicza*). A co nie mówiłem? Polowanie już się rozpoczyna.

ONUFRY. A ty, Dorciu, może pomyślisz o kolacji.

WANDA. My babci będziemy pomagać.

DOROTA. Ale wy zmęczone, z drogi...

HELENA. Nic a nic.

WANDA. Będziemy się z babcią bawić w gosposie. Ah, jak to będzie zabawnie. Chodźmy, babciu

(*biorą ją pod ręce*).

DOROTA. Powoli, bo mnie roztrzęsiecie (*wychodzą na prawo*).

FILIP (*który wszedł przed chwilą patrzy za niemi*). Toż to teraz wesoło u nas, aż miło.

ONUFRY. Filipie, nakrywaj, nakrywaj. A my może sobie tymczasem małego wiścika, co?

PAGATOWICZ. Ja z ochotą, a pan, panie Wistowski?

WISTOWSKI. Służę panom (*rozbierają karty; do Onufrego*). Pan grasz z dziadkiem..

ONUFRY. To nas będzie dwóch dziadków he — he — to się paradnie złożyło (*siadają, Onufry rozdaje karty*).

WANDA (*w białym fartuszku*). Dziadziuniu, gdzie są klucze babci od spiżarni?

ONUFRY. Klucze? (*szuka po kieszeniach, potem wskazuje na biurko*). A tam leżą.

HELENA (*także w fartuszku z tacą, na której wino i kieliszki*). Chrzestna matka przysyła, żeby się panom lepiej grało.

ONUFRY. Doskonale. Trzeba przecież oblać przybycie naszych panienek (*nalewa*). Wandziu! Czekajno, musimy przecież wypić wasze zdrowie.

PAGATOWICZ. Za szczęśliwe przybycie łaskawych pań.

ONUFRY. No, musicie przecież podziękować; dajcież jeszcze kieliszków.

HELENA. My z Wandzią, z ojczulka kieliszka (*trąca się z Pagatowiczem i Wistowskim.*)

WANDA (*toż samo robi*). Dziękujemy panom.

ONUFRY No, a zemną?

WANDA. Dziadziowi na podziękowanie całusa. (*całuje i wybiega na prawo*).

HELENA. I ja (*całuje i wybiega*).

ONUFRY. A co, jakie rozkoszne dziewczęta, nieprawda? He, he, zobaczycie, jak wam tu teraz przyjemnie będą schodzić wieczory.

WISTOWSKI (*chrząka na stronie*). Nie wszystkim.

ONUFRY. One wam tu tak głowy pozawracają, że się jeszcze na zabój w nich rozkochacie.

WISTNWSKI. O! o!

ONUFRY. No, zobaczycie!

PAGATOWICZ. Do czegóżby to było podobne.

ONUFRY. Pagatowicz już zrobił dobry początek, bo sobie pannę cukierkami skaptował. Teraz tylko kuć żelazo, póki gorące.

WISTOWSKI. W cóż pan wychodzisz?

ONUFRY. W co wychodzę? No, rozumie się, w karo (*zadaje*). Dla pana Wistowskiego znowu ta Wanda byłaby, jak ulał.

WISTOWSKI (*trąca Pagatowicza*). Oho, już zaczyna!

ONUFRY. Co to za sprytna dziewczyna, to nie macie pojęcia. A jaki rozumek? — Fiu-fiu — i to od samej małości. Jeszcze nie miała ośmiu lat, kiedy mi wykoncypowała powinszowanie, ale to takie, powiadam wam, że jeno drukować, jak Boga kocham. Czekajcie! Mnie się zdaje, że je mam gdzieś na wierzchu (*wstaje*).

WISTOWSKI. Ja już zadałem.

ONUFRY. Zaraz, karty nie uciekną, a to warto posłuchać, jak was kocham. Sami się przekonacie, zaraz wam pokażę (*idzie do biurka*).

WISTOWSKI (*n. str.*) Zaczyna się zachwalanie towaru.

ONUFRY. Gdzież u licha podział mi się klu-

czyk! A, jest. (*odmyka*) Powiadam wam, że zgłupiejejecie (*szuka między papierami*).

WISTOWSKI (*do Pagatowicza*). Nie zobaczy on mnie tu więcej.

ONUFRY. A, jest (*bierze pożółkły arkusik i, niosąc do grających, mówi do Wandy, która w tej chwili weszła*). Twoje powinszowanie, to wierszem, pamiętasz? O, patrzcie!

WANDA (*żywo*). Co dziadzio chce robić?

ONUFRY. Przeczytać im.

WANDA. Ja nie chcę, panowie by mnie wyśmieli!

PAGATOWICZ. Będziemy podziwiać.

ONUFRY. To się rozumie.

WANDA. Ja nie chcę, nie pozwolę (*wyrywa mu i odchodzi za kanapę*).

ONUFRY (*idąc za nią*). Wandziu — co robisz! Niech cię Bóg broni, żebyś mi to podarła; przecież to moja własność. Oddaj mi to zaraz, słyszysz! (*Wanda ucieka na lewo*).

WISTOWSKI (*rzuca karty*). Ale cóż to za gra! Panie Onufry, gramy albo nie gramy?

ONUFRY (*wraca od drzwi*). Ale gramy, rozumie się; dlaczegóżbyśmy nie mieli grać (*bierze karty*). Zaraz, zaraz, pan zadałeś to?

WISTOWSKI. Tak, i dziadek bije.

ONAFRY. Dziadek bije? Dobrze — czemby tu, Filipie, idź za panną, żeby mi się nie ważyła podrzeć, bobym się naprawdę pogniewał.

PAGATOWICZ. Możeby lepiej nie grać?

ONUFRY (*mocno zdziwiony*). A to dlaczego?

WISTOWSKI. No, bo czekamy i czekamy, a pan nie bije.

ONUFRY. Ale biję, biję. (*do wchodzącej Wandy*)

Wandziu, bardzo proszę, dość tych żartów. Oddaj mi to zaraz!

WANDA. A nie pokaże dziadziunio nikomu?

OOUFRY. No, nie pokażę, nie pokażę.

WANDA. Słowo?

ONUERY. No, słowo (*odbiera*). Poczekaj ty, swawolnico jakaś, odpłacę ja ci za to.

WANDA. Ale dziaduś nie gra, a panowie czekają (*do Wistowskiego*). Czy wolno usiąść przy panu?

WISTOWSKI (*chłodno*). O, bardzo proszę.

WANDA. Przy kimże szczęście?

PAGATOWICZ. Mnie dziś karta okropnie nie idzie.

ONUFRY. Powinieneś się pan cieszyć z tego.

PAGATOWICZ. A to dlaczego?

ONUFRY. O! o! Cóż udajesz niewiniątko! Nie znasz to przysłowia?

PAGATOWICZ. Doprawdy, nie znam.

WANDA. Kto nieszczęśliwy w karty, to bywa zwykle szczęśliwy... w loteryjkę.

ONUFRY (*śmieje się*). W loteryjkę! A to mu dogodziła! Widzisz, masz co chciałeś. W loteryjkę! Ha, ha, ka! (*do Wistowskiego*). Prawda, dowcipna, co? Loteryjka! Ha, ha ha! to się jej udało. Muszę to babci opowiedzieć.

WISTOWSKI (*rozpatrując się w kartach*). W coby tu wyjść?

WANDA. Jabym szła w piki.

ONUFRY. Ty, mała, będziesz ty tam cicho.

WISTOWSKI. To pani grywa w karty?

ONUFRY. Jak z nut.

WANDA. Przy ojcu musiałam się nauczyć, bo nie lubił grywać z dziadkiem.

ONUFRY. Co, ze mną nie lubił?

WANDA. Ale nie z dziadziem, tylko z dziadkiem.

WISTOWSKI. Więc pani radzi — w piki.

WANDA. Ja tak myślę.

WISTOWSKI (*po namyśle*). Ha, usłucham pani (*zadaje*).

PAGATOWICZ (*żywo*). A rozumie się, nie można było lepiej, bo biję, zagrywam karo i wszystkie lewy nasze. O! (*wykłada karty*).

WISTOWSKI (*ucieszony*). Prawda, wszystkie nasze.

ONUFRY. Jakto wszystkie? A mój as kierowy?

WISTOWSKI. Pan Pagatowicz bije go atutem, bo nie ma żadnego kiera i dostałeś pan wielkiego szlema. Pysznie nam pani doradziła (*wstaje rozpromieniony*).

ONUFRY. To ty, figlarko jakaś, będziesz na własnego dziadka podmawiać? Poczekaj, dam ja ci!

SCENA CZWARTA.

CIŻ, DOROTA, HELENA, FILIP.

DOROTA (*wchodząc*). Proszę panów kończyć, bo już kolacya.

ONUFRY (*wstając*). Właśnie w sam raz mnie obębnili, i to przez tę małą. (*do Wistowskiego*) Ale gracz z niej nielada, co?

WISTOWSKI. A rzeczywiście.

DOROTA (*gdy Filip postawił półmiski*). Proszę; panienki przy mnie (*siada*).

WANDA. Babciu, przeplatanego!

HELENA. Będzie weselej.

ONUFRY. Przeplatanego, doskonale, a gdzież mnie wpleciesz?

WANDA. Dziadunio między babcią i Heleną.

ONUFRY. Dobrze, posuń się stara.

WANDA. Pan Pagatowicz tu, (*wskazuje mu miejsce obok Helenki: do Wistowskiego*) a ja przy panu.

WISTOWSKI (*idąc, n. s.*). Coś za ostro atak idzie (*siada*).

WANDA. Co panu podać: kurczę, czy kotlety?

WISTOWSKI (*zimno*). O, niech się pani nie trudzi (*przyjmuje od niej półmisek*).

ONUFRY. Ale wy, robaczki, nic nie jecie.

HELENA. Owszem, ja jem.

DOROTA. Wandziu, a ty?

WANDA. Mnie się babuniu nic a nic jeść nie chce; tak jestem pełna radości, żem znowu przy was.

ONUFRY (*z czułością*). Moja gołąbeczka złota!

DOROTA. Ale choć kawałeczek kurczątka! (*idzie do niej z półmiskiem*).

WANDA (*składając ręce*). Kiedy nie mogę, jak babcię kocham!

DOROTA. Kawałeczek, jak mnie kochasz (*nakłada jej na talerz*).

ONUFRY (*tak samo*). Choć odrobinkę, bobym się pogniewał na ciebie.

WANDA. Ależ dziadku, na miłość Boską!

ONUFRY. I sałaty troszeczkę (*nakłada jej*).

DOROTA. Ale idźże z sałatą (*do Wandy*).. Wszak ty nie lubisz sałaty, prawda?

WANDA. Ale...

DOROTA. A widzisz! Kompotu, to nie mówię (*nakłada jej*). Jedz, jedz, kochanko, to ja sama smażyłam!

WANDA. Kiedy, jak was kocham, nie mogę! — Jutro i później będę się objadała za wszystkie czasy, ale nie dziś (*wstaje żywo*). Pójdę nalewać herbatę (*idzie do samowara*).

ONUFRY (*biegnąc za nią*). Czekaj, ostrośnie, poparzysz sobie palce! Filipie, uważaj na panienkę (*idzie dopomagać jej, ona nalewa i wnosi, Filip sprząta półmiski i talerze ze stołu*).

HELENA (*do Pagatowicza*). Czy pan koniecznie musisz jechać jutro do tego Wiednia?

PAGATOWICZ. Koniecznie, pani. Urlop mam krótki. Muszę korzystać z każdego dnia.

HELENA. A gdybym tak pana prosiła bardzo, żebyś się pan zatrzymał choć na dwa dni — choćby na jeden dzień.

PAFATOWICZ. A cóż pani zależeć może na tem, abym został?

HELENA. O, zależy, i bardzo wiele! Ani pan wyobrażasz sobie, jak wiele. Idzie tu o coś, czego już dawno gorąco pragnęłam.

PAGATOWICZ (*porusza się niespokojnie na krześle*). Dawno pragnie, masz tobie. (*Głośno*). I cóż to takiego?

HELENA. Nie powiem panu, bo muszę pierwej z ojcem pomówić o tem.

PAGATOWICZ (*jak wyżej. n. s.*) Z ojcem - bagatela, to przecież jasne, jak słońce!

HELENA. Bo to od niego zależy wszystko.

PAGATOWICZ (*n. s.*). Jak Boga kocham, Wistowski miał racyę! Co tu robić?

HELENA (*słodko*). No i cóż, uproszę pana?

WANDA (*podaje herbatę Pagatowiczowi*). Służę panu?

PAGATOWICZ. Ślicznie dziękuję.

WANDA. Może mało słodka?

PAGATOWICZ. Z pani rączek będzie z pewnością słodka.

HELENA (*po odejściu Wandy*). O, jaki pan komplimencista! Gotowam być zazdrosna.

PAGATOWICZ (*n. s.*). Zazdrosna... niema wątpliwości... Stary, trzymaj się!

ONUFRY. A może herbatka lepiejby nam smakowała przy kartach?

DOROTA. Dalibyście sobie spokój dzisiaj z kartami. Są przecież panny w domu. Możnaby się w coś przyjemniejszego zabawić.

ONUFRY. Prawda: np. w kotka i myszkę:

HELENA. E! To taka dziecinna gra.

ONUFRY. Widzicie ją, jaka mi dojrzała.

WANDA. Lepiej zatańczmy. Ja tak lubię tańczyć! Dziadzio z babcią zagrają tak, jak to dawniej, pamięta dziadunio, a my sobie zatańczymy.

ONUFRY. Ale z kim?

WANDA (*wskazuje na Wistowskiego i Pagatowicza*). Przecież są kawalerowje!

FILIP (*n. s.*). Tacy tam kawalerowie, Boże odpuść!

ONUFRY. A prawda, no to dalej. Przecież to karnawał teraz! (*bierze skrzypce i stroi*). Dorciu, do roboty! (*Dorota idzie do fortepianu*).

WADA (*dygając przed Wistowskim*). Ja pana angażuję.

WISTOWSKI. Daruje pani...

ONUFRY. No, nie możesz pan przecież odmówić, kiedy panna sama prosi.

HELENA (*do Pagatowicza*). A pan ze mną.

PAGATOWICZ. Ależ, łaskawa pani, gdzie mnie do tańca, ja już zapomniałem!

WANDA. Trzeba zrobić miejsce. Filipie, Helenko! (*Razem z Filipem usuwają stół*).

ONUFRY. Czekaj, bo się oberwiesz (*pomaga wraz z Helenką*).

PAGATOWICZ (*do Wistowskiego*). I cóż pan na to wszystko?

WISTOWSKI. Biorą nas na wszystkie sposoby, ale się nie damy.

PAGATOWICZ. O, nie damy się!

WISTOWSKI. Grube ryby nie łapią się na takie przynęty, prawda?

PAGATOWICZ. A tak, tak, lubo ta Helenka to wcale niczego panna.

WANDA. No, sala balowa już gotowa (*do Wistowskiego*). Służę panu... Babuniu! Dziaduniu!

ONUFRY. Cóż wam zagrać?

WANDA. Walca!

GELENA. Tak, tak, walca!... (*staje z Pagatowiczem*).

PAGATOWICZ, Nie wiem, czy potrafię.

HELENA. Ale potrafisz pan, niema jak walc!

ONUFRY (*do Doroty*). Matka! Tego naszego, (*grają jakiegoś starego walca. Wistowski tańczy z Wandą i chce się widocznie popisać, że z niego jeszcze dobry tancerz*).

PAGATOWICZ (*porusza się w tańcu z Heleną i zaraz z początku pomylił się w takcie, zatrzymuje się*). Zaczekajmy, od punktu. No, raz, dwa, trzy; raz, dwa, trzy...

HELENA (*wesoło*). Cztery, pięć, sześć, dziesięć, najlepiej bez rachuby (*porywa go w szybki taniec*).

PAGATOWICZ (*trąciwszy Wandę*). O, przepraszam! (*Tańczy dalej niezgrabnie, nagle przewraca się, Helena go podnosi, Wanda przestaje tańczyć*).

PAGATOWICZ (*podnosząc się*). Bardzo przepraszam, noga mi się tego...

HELENA. Ależ nic nie szkodzi! To się najlepszemu tancerzowi trafia.

ONUFRY (*który grając, patrzył z zadowoleniem na tańczących, przytupując w takt nogą, przerywa granie i mówi*). Nie rób sobie nic z tego, Pagatowicz, to dobry znak.

PAGATOWICZ (*n. s. dotykając się*). Rzeczywiście, będzie dobry znak.

ONUFRY. Pamiętasz Dorciu, myśmy się także przewrócili przy pierwszem poznaniu.

HELENA (*do Pagatowicza*). No, tańczmy dalej!

PAGATOWICZ. O nie, pani! Ja już kaput! (*idzie na lewo, siada, Helena przy nim*).

WANDA (*siada z prawej i wachluje się, mówiąc zalotnie do Wistowskiego, który siadł obok niej*). Ale jak pan lekko tańczy!

WISTOWSKI (*kłania się zadowolony*). Wolne żarty; kiedyś to się tam tańczyło niezgorzej.

WANDA. Z nikim jeszcze nie tańczyło mi się tak dobrze jak z panem. Tak, prawie nie czuję żadnego zmęczenia.

WISTOWSKI (*ucieszony*). Rzeczywiście? To może pani jeszcze pozwoli (*wstaje*).

WANDA. O, z największą ochotą! Dziaduniu, jeszcze troszeczkę. (*Onufry i Dorota grają, ale piano, aby gra ich nie tłumiła rozmowy Heleny i Pagatowicza*).

HELENA (*chwytając Pagatowicza za rękę*). O, nie! Pan tego nie zrobisz, żebyś miał odjeżdżać jutro! Pan nie pojedziesz, prawda?

PAGATOWICZ (*n. s.*) Jak ona patrzy. To trzeba być kamieniem chyba, żeby nie zmięknąć.

HELENA (*błagalnie*). No?

PAGATOWICZ (*n. s.*) Tak mnie rozmiękczyła, że jestem teraz, jak masło majowe. Możnaby mnie na chlebie rozsmarować.

HELENA. Nic pan nie mówisz? Dawniej, to pan zawsze powtarzałeś, że mnie tak kochasz, że nie byłbyś w stanie niczego mi odmówić. A teraz, to takiej drobnostki nie chcesz panć zrobić dla mnie.

PAGATOWICZ (*n. s.*). Nie, dłużej się nie oprę! (*głośno*). Niech się dzieje, co chce, zostanę.

HELENA (*z żywą radością*). Otóż tak, to lubię. O, nie uwierzysz pan, jak mnie tem uszczęśliwiasz! (*ściska mu rękę*).

PAGATOWICZ (*wzruszony*). I siebie, i siebie, panno Heleno — wierz mi.

ONUFRY (*który przed chwilą grać przestał*). A możeby tak kadryla?

PAGATOWICZ (*zrywając się z zapałem*). Dobrze, kadryla (*do Heleny*). Służę pani (*bierze ją za rękę i idąc na środek, nuci kadryla*). Tra la la la — tra la la la.

ONUFRY. A to się Pagatowicz rozhulał! Patrzno Dorciu! (*zaczyna grać kadryla*).

WANDA (*do Wistowskiego*). A pan nie zmęczony?

WISTOWSKI (*wstając*). Ja? Gotów jestem tańczyć do samego rana.

WANDA. Więc tańczmy. (*Pagatowicz wyrywa się za wcześnie*).

WISTOWSKI (*z ferworem kawalerskim*). Attendez — ośm taktów wytrzymać, tak, a teraz en avant, chaine anglaise, retour, balance (*tańczą*).

FILIP (*który się z zajęciem przypatrywał*). A to się staruszkowie rozbrykali.

Zasłona spada.

AKT II.

Ten sam pokój co w akcie pierwszym.

SCENA PIERWSZA.

WANDA *(siedzi przy fortepianie, znudzona, rozkapryszona, gra to powoli, to prędko, to wesołe, to smutne rzeczy, wkońcu wstaje od fortepianu).* Sama nie wiem, co mi jest, a jednak smutno mi tu i nudno. No, ale cóż ja temu winna, że madame przyjęła takiego ładnego nauczyciela od muzyki. To nie ja jedna przecież, bo cała klasa w nim się kochała na zabój, a że mnie wybrał, to tylko honor dla mnie. *(Po chwili).* Co on sobie tam pomyśli, jak przyjdzie na lekcyę, a tu ani jednej panny. Chciałam mu donieść, że wyjeżdżam, ale Helenka osądziła, że nie wypada pisać do kawalera *(siada).* Czy jemu też tam tęskno bezemnie, jak mnie tutaj? *(wstaje).* Ah, Boże! Ja teraz dopiero widzę, jak go kocham!

SCENA DRUGA.

WANDA, BURCZYŃSKI, HELENA, FILIP *(z pakunkami).*

BURCZYŃSKI *(w czamarce, czapka rogata z daszkiem, mówi do Filipa).* Poznoś tam bagaże do pana pokoju. Jest tygo porcya. *(Filip odchodzi).* Jak my się z tem wszystkiem zabierzemy, to, dalibóg, nie wiem.

HELENA *(do Wandy).* Tatko dziś w nienajlepszym humorze!

BARCZYŃSKI *(siadając).* Niech licho weźmie to miasto! Ciągłe trzymaj rękę w kieszeni i gdzie się ruszysz, tylko płać i płać, i to od rana do wieczora. Jakby mi tu przyszło jeszcze kilka dni pobyć, to, dalibóg, nie byłoby o czem wracać.

HELENA *(rozbierając się, ze śmiechem).* E, co też tateczko mówi!

BURCZYŃSKI. A jak Boga kocham! No, widzicie państwo, ona się śmieje!

WANDA *(ze śmiechem).* Jak panu braknie, to dziadunio pożyczy.

BURCZYŃSKI. Tak, pożyczyć łatwo, tylko skąd oddać?

HELENA. Myślałby kto, że tatko taki biedny.

BURCZYŃSKI. A cóż ty sobie myślisz, smarkulo, że ja kuję pieniądze, czy co? A tożby się w studni przebrało przy takich wydatkach!

HELENA *(zadąsana).* I cóż to znowu za tak, straszne wydatki?

BURCZYŃSKI. Co za wydatki? A wiesz ty smarkulo, wiele ja od wczoraj wydałem? Dwieście pięćdziesiąt reńskich i to wszystko przez ciebie.

HELENA. Jakto przeze mnie?

BURCZYŃSKI. A tak, tak, bo, gdyby nie ty nie byłbym się ruszał z domu, a Zębaczyńska jak tylko widzi, że się wybieram do miasta, to zaraz rychtuje rejestr na dwa łokcie *(wyjmuje notatkę z kieszeni).* O, cała litania!

HELENA. Ale zato tatko potem znowu przez kilka miesięcy nie będzie nic wydawał.

WANDA. Potrzeba przecie, żeby miastowi coś zarobili.

HELENA. Tatko przeszłego roku wziął tyle pieniędzy za pszenicę...

WANDA. A widzi pan.

BURCZYŃSKI *(wstaje)*. E, ktoby was przegadał! Dajcie mi święty spokój *(do Wandy)*. Gdzie dziadek?

WANDA. U siebie.

BURCZYŃSKI. Wolę iść do niego na fajkę, bo z wami tobym końca nie doszedł; szkoda czasu *(idzie na prawo)*.

HELENA *(do odchodzącego)*. Tatko nie lubi prawdy słuchać!

BARCZYŃSKI. Dajcie mi spokój, nic nie słucham *(wychodzi)*.

WANDA. Ten twój ojciec to musi być taki burczymucha, co to zrzędzi, krzyczy, łaje, ale w gruncie poczciwy i miękki. Co?

HELENA. Dobry jest, to prawda. Bardzo dobry, ale na punkcie wydawania pieniędzy, to strasznie twardy *(z westchnieniem)*. A ja mam teraz właśnie taką wielką prośbę do niego.

WANDA. Pewnie o nowy kapelusik?

HELENA. E, gorzej jeszcze. Chcę go prosić na materyalną suknię.

WANDA. Ho, ho, czego ci się zachciewa!

HELENA. No cóż, moja droga? Julcia Grzybkowska, przecież młodsza odemnie, a już w przeszłym roku, na egzaminie, miała jedwabną suknię; wiesz, tę niebieską w paski, pamiętasz?

WANDA. O, pamiętam dobrze!

HELENA. A no, widzisz! A ja teraz mam taką dobrą sposobność. Pagatowicz jedzie do Wiednia, a on się zna bardzo dobrze na materyałach. Powiadają, że tam za bezcen można kupić. A u nas, w sąsiedztwie, wielki bal na Święty Józef u Gągatnickich, toby doskonale mi wypadło. Coby to było za szczęście pokazać się w materyalnej sukni z ogo-

nem, z takim długim, długim ogonem. Ach, żeby tylko tatko zmiękł! Może teraz, jak się z twoim dziadkiem rozgada, będzie w lepszym humorze. Pójdę spróbować. Muszę się spieszyć, bo Pągatowicz dziś jest, a jutro wyjeżdża. Ledwie go uprosiłam, żeby się zatrzymał. No, odważnie! W Imię Ojca i Syna *(idzie na prawo i wraca się)*. A, prawda! zapomniałam ci powiedzieć, że Henryk jest tutaj.

WANDA *(z żywą radością)*. Jest tutaj? Widziałaś go?

HELENA. Spotkałam się z nim w mieście. Będzie tu, u was, o czwartej. Ma ci coś ważnego do powiedzenia *(wybiega)*.

WANDA *(sama)*. Boże! Jak mi serce bije! On jest tutaj! Może umyślnie za mną przyjechał! No, rozumie się, skoro ma mi coś bardzo ważnego do powiedzenia *(patrzy na zegar)*. Do czwartej już niedaleko.

DOROTA *(za sceną z lewej)*. Filipie, klucze od spiżarni.

WANDA. Babcia! Gdyby go tu zobaczyła! No, cóż z tego, przecież każdemu wolno przyjść z wizytą.

DOROTA. Niech Filip idzie ze mną.

WANDA. Idzie tu! Co robić, żeby tu długo nie zabawiła? A wiem *(kładzie się prędko na kanapie i udaje śpiącą)*.

SCENA TRZECIA.

WANDA, DOROTA, FILIP *z lewej, po chwili* ONUFRY *z prawej.*

DOROTA *(do Filipa)*. Zaniesiesz potem panom wino *(spostrzega śpiącą)*. A, śpi; cicho! Masz klucze i idź do piwnicy, nie tłucz się. *(Filip wychodzi na lewo)*.

DOROTA *(przypatrując się Wandzie)*. Zasnęła niebożątko!

ONUFRY *(z prawej).* Dorciu! Każno nam dać wina.

DOROTA *(daje znak).* Cicho! *(wskazuje na śpiącą).*

ONUFRY *(cichuteńko).* Każno nam dać wina.

DOROTA *(tak samo).* Już poszedł Filip.

ONUFRY *(zbliżając się).* Śpi? Wandziu!

DOROTA. Dajże jej spokój!

ONUFRY. Śpisz? No śpij, śpij. Możeby jej jaśka pod głowę?

DOROTA. Zaraz przyniosę *(do Filipa, który idzie z winem).* Ostrożnie, na palcach, bo panienka śpi *(wychodzi na lewo).*

ONUFRY *(do Filipa, dając znak, gdzie ma iść).* Do mego pokoju, słyszysz? Tam. — Tak *(po chwili).* Moje śliczności, jak to smacznie zasnęło, ale ziębnie biedactwo; możeby ją czem przykryć *(szuka po pokoju, a nie znalazłszy nic, zdejmuje szlafrok).* Tak teraz jej będzie cieplej *(otula ją).*

DOROTA *(wchodzi na palcach).* Jest jaśko.

ONUFRY. Tylko ostrożnie, żebyś jej nie obudziła. Tak...

DOROTA. Chodźmy!

ONUFRY. Chodźmy *(wychodzą na palcach, oglądając się na śpiącą).*

WANDA *(zrywa się).* Nareszcie! Jacy oni poczciwi, jak mnie kochają! Doprawdy, że mnie wstyd, że ich tak oszukiwać muszę. Ale cóż było robić? Czwarta co tylko nie uderzy! *(spostrzegłszy wchodzącego).* A!

SCENA CZWARTA.
HENRYK, WANDA.

HENRYK *(wchodzi żywo),* Ah, panno Wando! *(chce ją całować w rękę).*

WANDA *(cofa się i ogląda z przestrachem).* Pa-

nie Henryku! Co pan robisz? Nie można sobie tak pozwalać, bo tu nie pensja. Gdyby tak dziadkowie zobaczyli...

HENRYK. A cóż dziadkowie pani mogliby mieć przeciw temu?

WANDA. Oni jeszcze nie wiedzą o niczem. Nie znają pana.

HENRYK. No, to mnie pani poznasz z nimi, przedstawisz jako swego narzeczonego.

WANDA. Narzeczonego?

HENRYK. Teraz już śmiało mogę wystąpić w tym charakterze na mocy tego listu *(pokazuje list)*. Dostałem go parę dni temu i pobiegłem zaraz na pensję, aby się z panią podzielić tą radosną nowiną; powiedziano mi, że pani wyjechała, więc natychmiast za panią tu przybyłem.

WANDA. I cóż ten list zawiera?

HENRYK. Czytaj pani!

WANDA *(bierze od niego list i czyta)*. „Drogi synowcze!"

HENRYK. To do mnie.

WANDA *(j. w.)*. „Jesteś jedynym reprezentantem naszego nazwiska, rozumie się, nie licząc mnie. Na tobie więc ciąży obowiązek utrzymania naszego rodu na przyszłość" *(mówi)*. Tego nie rozumiem.

HENRYK. Ja to pani później kiedyś wytłómaczę, czytaj pani dalej.

WANDA *(j. w.)*. „Jeżeli wybierzesz sobie żonę, która zyska moją aprobatę".

HENRYK. Aprobatę — dwa razy podkreślone.

WANDA *(j. w.)*. „Zabezpieczę wam dostatnie utrzymanie, a po mojej śmierci zrobię cię uniwersalnym spadkobiercą mojego majątku".

HENRYK *(z radością)*. I cóż pani na to? Szczęście nasze już zapewnione, nieprawdaż?

WANDA. A jak się nie spodobam pańskiemu stryjowi i nie zyskam jego aprobaty?

HENRYK. Chybaby ócz nie miał.

WANDA. Nie śmiej się pan, bo to bardzo możebne. Robiłam, co mogłam, aby pozyskać jego względy, ale mi się zdaje, że mi się... że mi się to nie bardzo udało.

HENRYK. Jakto, pani znasz mego stryja? Widziałaś go gdzie?

WANDA. Tutaj.

HENRYK. On tu bywa?

WANDA. Jest prawie codziennym gościem u moich dziadków.

HENRYK. A to się wybornie składa.

WANDA. Ja nie widzę w tem nic tak jeszcze wybornego.

HENRYK. Jakto nie? Powiem mu wprost: Stryju! oto moja narzeczona — i koniec.

WANDA. A stryj pański wtedy zacznie mnie oglądać, krytykować i wyszukiwać koniecznie różne złe strony. Dziękuję panu za taką przyjemność.

HENRYK. Więc cóż mam robić?

WANDA. Przedewszystkiem iść stąd.

HENRYK. Jakto, mam odejść?

WANDA. Nie na długo. Przyjdzie pan tu razem ze stryjem z oficyalną wizytą i będziesz udawał, jakbyśmy się wcale nie znali.

HENRYK. Dlaczego?

WANDA. Ah, jakiż z pana niedomyślny człowiek. Bo wtedy może łatwiej spodobam się stryjowi pańskiemu, gdy nie będzie wiedział, że mi tak na tem zależy.

HENRYK. A, rozumiem.

WANDA *(z uśmiechem)*. Przecież! A teraz odejdź pan, żeby kto nie nadszedł *(słychać kroki i chrząka-*

nie na schodach). Ktoś idzie — idź pan, do widzenia *(wybiega, Henryk wybiega środkowemi drzwiami i potrąca mocno wchodzącego Pagatowicza).*

SCENA PIĄTA.

PAGATOWICZ, *później* ONUFRY.

PAGATOWICZ. A cóż to za warjat. Mało mnie nie roztrącił *(poprawia ubranie, stawia kapelusz i laskę, dobywa tabakierkę i siada).* No i nie pojechałem. Stało się, jak chciała. Wistowski będzie się śmiał ze mnie, jak się dowie, ale jakże tu było odmówić, kiedy tak prosiła, tak prosiła! Niech się dzieje, co chce, jam zdecydowany na wszystko.

ONUFRY *(z prawej).* O, Pagatosio już tu! Jeszcze piątej niema, a kawaler już na stanowisku — brawo, brawo!

PAGATOWICZ. Przyszedłem wcześniej, bo...

ONUFRY. Nie tłómacz się... Wiem ja dobrze, jaki magnes cię tu ciągnie. Ja to wam z góry przepowiadałem, że się rozkochacie, jak marcowe koty.

PAGATOWICZ. Ale cóż znowu!

ONUFRY. I nie dziwię się wam wcale. Toż to samo kochać się każe, takie to przylipne, milutkie, że aż ślinka idzie *(klepie go po ramieniu).*

PAGATOWICZ. Ależ...

ONUFRY. Jak Boga kocham, tak wyswatam.

PAGATOWICZ. Ależ, panie Onufry, wolne żarty! — gdzie mnie małżeństwo w głowie — ja stary.

ONUFRY. O! o! stary. Adyć ty smarkacz w porównaniu ze mną. Jak ja byłem w twoim wieku... Wieleż ty lat teraz sobie liczysz?

PAGATOWICZ. A będzie pięćdziesiąt dwa.

ONUFRY. A no. To jak ja byłem w tym wieku, to miałem także pięćdziesiąt dwa lat, a byłem panie taki chwat do kobiet, że moja Dorcia, to mi sceny

robiła, tak była o mnie zazdrosna. A on mówi, że za stary, że mu nie w głowie małżeństwo. Herr Gott! Żebym ja był na twojem miejscu, toby mi ono było nietylko w głowie, ale w rękach, w nogach, w oczach, wszędzie...

PAGATOWICZ. Dobrze to tak mówić, jak się jest zdrowym, czerstwym — ale ja schorowany, defektowy.

ONUFRY. A czy może być lepsze lekarstwo na wszystkie choroby, jak żona?

PAGATOWICZ *(z niedowierzającym uśmiechem)*. E... gadanie.

ONUFRY. A, dalibóg — miałem kolegę szkolnego, Filipowicza, może go znałeś nawet?

PAGATOWICZ. Nie miałem przyjemności.

ONUFRY. Otóż, panie, chłop ciągle stękał, kwękał od najmłodszych lat. Jeździł do Karlsbadu, Bóg nie wie gdzie — i nic! Dopiero, jak się ożenił, wszystkie choroby, jakby ręką odjął. Chłop, panie, teraz, jak rydz, a dzieci blizko do tuzina.

PAGATOWICZ. Kiedy mnie doktór mówił...

ONUFRY. E, co tam doktorzy! Co oni wiedzą! Jużciż muszą wymyślać różne choroby, bo inaczejby z głodu poumierali. Dobrze wyjdziesz, jak się ich będziesz trzymał. Ja ci mówię, że niema lepszego lekarstwa, jak żona... no i morison; a... morison także.

PAGATOWICZ. A rzeczywiście, morison, coś mi pan poradził, pomógł mi trochę.

ONUFRY. A widzisz! Spróbuj jeszcze ożenić się, a ozdrowiejesz do reszty. Pannę znasz od dziecka, nie potrzebujesz więc czasu tracić na długie konkury, zatem uderz śmiało i kwita *(bierze go pod rękę)*. A coby to była za satysfakcja, panie, mieć w domu takie miluchne stworzonko, taką... taką dzierlateczkę. Widzisz, uśmiechasz się bałamucie. Poczekaj, zaraz

ci ją tu przyszlę, jest właśnie u ojca. O coś go tam strasznie molestuje. No, Pagatosiu, nie zasypia sprawy. Poprosicie mnie potem w kumy, he, he, hej (*wychodzi na prawo*).

PAGATOWICZ. Molestuje ojca. O, jak widzę, to nie na żarty idzie. Dziewczyna na dobre rozmiłowała się we mnie. Ha, dziej się wola Boża! Śmierć i żona od Boga przeznaczona. Niech tam Wistowski śmieje się ze mnie, jak mu się podoba, ja zrobię, jak mi lepiej.

SCENA SZÓSTA.
PAGATOWICZ, HELENA, *wchodzi łkając głośno.*

PAGATOWICZ (*idzie do niej z czułością*). A to co? Cóż się stało? Panno Heleno! Co pani jest? Czego pani płacze?

HELENA (*j. w.*). Taki ojciec! To — to tyran, nie ojciec!

PAGATOWICZ. Cóż on pani zrobił?

HELENA (*j. w.*). Nie chce pozwolić, choć go tak prosiłam, błagałam na wszystko w świecie!

PAGATOWICZ (*zasmucony*). Nie zgadza się?

HELENA. Ani nie chce słyszeć o niczem.

PAGATOWICZ. I dlaczego?

HELENA. Powiada, żem jeszcze za młoda.

PAGATOWICZ. Na to właśnie najlepsza pora.

HELENA. No, nie prawda? Ja mu to samo mówiłam. Julcia Grzybowska przecież młodsza ode mnie, a nie bronią jej tego. To tylko ja jedna taka nieszczęśliwa (*zaczyna znowu mocno płakać*).

PAGATOWICZ (*n. s.*). Biedne dziecko (*głośno*). No, no, panno Heleno, jeszcze nic straconego. Ojciec przecież da się w końcu ubłagać. A możeby dobrze było, żebym ja tak z nim pogadał...

HELENA. O nie, nie! Popsułbyś pan jeszcze wszystko. Ja znam ojca; jak się uprze, to niech Bóg

broni, żeby go męczyć prośbami, bo jeszcze gorzej. Trzeba poczekać, aż się sam zreflektuje, udobrucha i trafić mu na dobrą chwilę. Tylko, jeżeli pan przedtem odjedziesz?...

PAGATOWICZ *(biorąc ją za rękę i głaszcząc po niej).* Nie odjadę — nie odjadę.

HELENA. Bo jabym się zdesperowała.

PAGATOWICZ *(n. s.).* Jak tu nie uledz takiej miłości!

HELENA. A długo pan będziesz mógł się zatrzymać?

PAGATOWICZ. Dopóki sama będziesz chciała, ty — ty — gołąbeczko moja *(chce ją pocałować w rękę).*

HELENA *(cofa się).* Fe, panie, co pan robisz!

PAGATOWICZ *(n. s.).* Jakie to skromne, niewinne, Boże kochany!

HELENA. A jakbym ja nic nie wskórała u ojca, to jeszcze Wandzi poproszę. Ojciec ją bardzo lubi.

PAGATOWICZ. Więc pani myślisz powiedzieć o tem pannie Wandzi?

HELENA. Już jej powiedziałam. My nie mamy przed sobą żadnych sekretów. Ona, jak się w Henryku zakochała, to mnie pierwej z tem się zwierzyła.

PAGATOWICZ. Zakochała się panna Wanda?

HELENA. I to już od roku.

PAGATOWICZ. Bagatela!

HELENA. Pan nie poznałeś pana Henryka? Miał tu być o czwartej; nie spotkaliście się panowie?

PAGATOWICZ. A tak, spotkaliśmy się i to dosyć dobrze *(n. s.).* To to on był, a Wistowski sobie imaginował!... Ha — ha — toż to mu pójdzie po nosie.

HELENA. I jakież zrobił na panu wrażenie pan Henryk?

PAGATOWICZ. Bardzo mocne, dotąd je czuję.

HELENA. Prawda, że przystojny chłopiec, a jak znakomicie gra?

PAGATOWICZ. W taroka, czy wista?

HELENA. Ale cóż znowu! Na fortepianie... Był przecież nauczycielem muzyki na naszej pensji.

BURCZYŃSKI *(za sceną)*. Heleno!

HELENA. Ojciec mnie woła. Więc pamiętaj pan, że mam pańskie słowo, że zostajesz.

PAGATOWICZ. To się rozumie, że zostaję.

HELENA. Dopóki się ojciec nie zdecyduje?

PAGATOWICZ. Choćby mi przyszło czekać Bóg wie, jak długo.

HELENA *(podając mu rękę)*. Ah, jaki pan dobry. Oby nam się tylko udało.

SCENA SIÓDMA.

CIŻ i BURCZYŃSKI.

BURCZYŃSKI *(z prawej, ubrany do wyjścia)*. Helenko, co to znaczy? Wołam i wołam... O! Pagatowicz. Ej ty, ty, stary, mam ja z tobą na pieńku.

PAGATOWICZ. Ze mną?

BURCZYŃSKI. No, no, nie udawaj niewiniątka. Cóż ty tam spiskujesz z Helenką przeciwko mnie, co?

PAGATOWICZ. Ależ...

BURCZYŃSKI. Komu to wdawać się w takie rzeczy. Bałamucisz mi tylko dziewczynę, zamiast jej wybić z głowy te głupstwa.

PAGATOWICZ *(z determinacją)*. Mój Burczyński, proszę cię, co ty możesz mieć przeciwko temu?

BURCZYŃSKI. Dobry sobie! A cóż to ja mam pieniądze na wyrzucenie?

PAGATOWICZ. Przecież tu nikt od ciebie nie żąda pieniędzy. Idzie tylko o twoje zezwolenie.

BURCZYŃSKI. Zwarjował, czy co? Cóż ty so-

bie myślisz, że jabym się zgodził na to, żeby moja córka od ciebie łaski przyjmowała?

HELENA. Ale, bo tatko nie zrozumiał!

BURCZYŃSKI *(stukając laską)*. Panna tu nie masz głosu. Proszę iść do swego pokoju!

HELENA *(n. s.)*. Ja mówiłam, że ten Pagatowicz jeszcze wszystko popsuje *(odchodzi na prawo)*.

BURCZYŃSKI *(chodzi zagniewany)*. Hm, proszę, jaki mi dobrodziej. Ja, mospanie, dobrodziejstwa od nikogo nie potrzebuję!

PAGATOWICZ. Ależ, Burczyński, nie masz się czego obrażać! Zważ tylko, że tu idzie o szczęście twojej córki!

BURCZYŃSKI. Masz tobie! On to także szczęściem nazywa; śliczne mi szczęście!

PAGATOWICZ. No, czyż nie, skoro panna Helena...

BURCZYŃSKI. Co tam Helenka, Helenka! Co ona wie, takie cielątko młode.

PAGATOWICZ. Przecież jest już w tym wieku...

BURCZYŃSKI. E, idź, stary, idź! Miejże ty rozum przynajmniej i nie gadaj mi takich głupstw, bo to sensu niema, żeby pannie w siedemnastu latach zachciewało się coś podobnego.

PAGATOWICZ. Ależ posłuchaj tylko!...

BURCZYŃSKI. Nie, nie słucham! Dajcie mi święty spokój! Nie pozwalam i basta! *(wychodzi środkiem)*.

PAGATOWICZ. Tatko trochę grubjanin, ale to nic; dla takiego anioła można przecież znieść te małe nieprzyjemności. Niech on sobie gada, co chce, skoro panna za mną, to reszta drobnostka. Tu panna grunt. I żeby ojciec się na głowie postawił, to nie ustąpię, jak mi Bóg miły, nie ustąpię! A, pan Wistowski! Dobrze, że pan idziesz!

SCENA ÓSMA.

WISTOWSKI.
PAGATOWICZ.

WISTOWSKI. Cóż się stało?

PAGATOWICZ (*tajemniczo*). Ja już z panną gotów.

WISTOWSKI. Jakto?

PAGATOWICZ (*ucieszony*). Zakochała się we mnie dziewczyna po uszy.

WISTOWSKI. Co za dziewczyna?

PAGATOWICZ. No, Helenka Burczyńska.

WISTOWSKI (*z ironią*). Tak na poczekaniu?

PAGATOWICZ. Ja, panie, sam głupieję, skąd się to wzięło. I to jeszcze sama mi się prawie oświadczyła, jak mnie pan żywego widzisz! Jak jej tylko napomknąłem, że chcę wyjechać... jak pan wiesz, miałem jechać do Wiednia...

WISTOWSKI. Poradzić się na to „mruczenie“, wiem — wiem...

PAGATOWICZ. Otóż ona, jak to usłyszała, tak zaraz „nie jedź pan, zostań“, zaklinała mnie biedaczka na wszystko w świecie, a dziś już z ojcem o tem mówiła.

WISTOWSKI. No, i ojciec rozumie się zgodził się. To było do przewidzenia.

PAGATOWICZ. Otóż właśnie w tem sęk, że ojciec mi troszeczkę bruździ.

WISTOWSKI (*z ironią*). O!

PAGATOWICZ. Powiada, że jeszcze za młoda.

WISTOWSKI. Zwyczajne ceregiele, znane rzeczy Ja ręczę panu, że się zgodzi.

PAGATOWICZ. Bógby dał.

WISTOWSKI. Więc na serjo myślisz się pan żenić?

PAGATOWICZ. A cóż robić? Wobec takiej miłości ze strony panny, nie mogę przecież pozostać jak głaz.

WISTOWSKI. A cóż będzie z pańską chorobą?

PAGATOWICZ *(z fantazją)*. E, panie! Przy takiej żonie, to człowiek o chorobie zapomni. Ot n. p. wczoraj wieczór, jakeśmy się rozbawili, roztańczyli, to zaraz czułem się zdrowszy.

WISTOWSKI. A, rzeczywiście, pyszneśmy się zabawili!

PAGATOWICZ *(j. w.)*. Mnie ten taniec szczególniej bardzo dobrze zrobił, bo przecież jadło się to i owo przy kolacyi, a mimo to, cóż pan powiesz, najmniejszego gniecenia w żołądku — nic; spałem wybornie i wstałem nazajutrz, jakby odmłodzony. Język, co prawda, jeszcze trochę biały, ale jestem przekonany, że po kilku takich wieczorkach, to i językby się całkiem wyczyścił.

WISTOWSKI. Jak widzę, to pana już kompletnie złapali.

PAGATOWICZ. Dlaczegożby mieli łapać? Czy to panna garbata, albo ułomna? Dziewczyna, jak malowana, że poszukać takiej, i nie bez grosza, bo to jedynaczka. To też mam szczery zamiar żenienia się, bo po głębszym namyśle przychodzę coraz więcej do przekonania, że stare kawalerstwo, panie, to licha warte.

WISTOWSKI *(z ironją)*. Tak pan sądzisz?

PAGATOWICZ. Zobacz pan wykazy statystyczne: największa śmiertelność i najwięcej samobójstw przypada na stan kawalerski. Co to za życie, panie, takiego kawalera! Człowiek się tylko kwasi... Pan także powinieneś pomyśleć o żeniaczce.

WISTOWSKI. Kłaniam uniżenie. Ja, dzięki Bogu, mam język czysty.

PAGATOWICZ. Przecież i ja nie dla języka biorę żonę, tylko dlatego, że widzę, iż małżeństwo ma swoje dobre strony.

WISTOWSKI. Ale więcej złych! *(siada)*. Nie

przeczę, że panna Wanda ma bardzo dużo zalet, że jest miła, wesoła, gra znakomicie w karty, ale...

PAGATOWICZ. Ale ma już narzeczonego.

WISTOWSKI. Któż to panu mówił?

PAGATOWICZ. Helenka.

WISTOWSKI (*śmieje się*). Helenka! I pan uwierzyłeś temu?

PAGATOWICZ. Dlaczegoż miałbym nie wierzyć?

WISTOWSKI. Mój panie, znamy się i na takich sztuczkach.

PAGATOWICZ. Sztuczkach?

WISTOWSKI. A rozumie się (*bierze go pod rękę*). Pokazuje się umyślnie współzawodnika, żeby zachęcić do stanowczego kroku: śpiesz się, mój panie, bo są tacy, co cię gotowi uprzedzić. I takie historye mi się już trafiały, mój panie.

PAGATOWICZ. Więc pan sądzisz, że to taki konkurent... no, niby też to?...

WISTOWSKI. Może tam i jest rzeczywiście jaki kancelista, albo akademik z wielkiemi nadziejami na przyszłość. Ale cóż to, panie, znaczą takie kiełbiki i płotki wobec nas, grubych ryb! Jestem przekonany, że gdybym tylko słówko pisnął, to panna moja.

PAGATOWICZ. Na dwoje babka wróżyła.

WISTOWSKI. Wątpisz pan?

PAGATOWICZ. Bardzo wątpię.

WISTOWSKI. Dla samego przekonania pana gotów jestem spróbować.

PAGATOWICZ. A jak panna da kosza?

WISTOWSKI. Co? Mnie kosza? Ha, ha! Gdyby mi się tylko chciało zadać sobie pracy, tobyś pan zobaczył, co to Wistowski jeszcze potrafi. Miało się niemałą praktykę w tym względzie (*spostrzega wchodzącą Wandę*). A lupus in fabula (*poprawia ubranie i kryguje się pretensyonalnie*).

SCENA DZIEWIĄTA.
CIŻ i WANDA.

WANDA (*wchodzi z czepeczkiem, który obszywa, uprzejmie*). A, panowie tutaj, a dziadunio nic o tem nie wie. Pójdę go zawiadomić.

WISTOWSKI (*podając jej rękę na powitanie*). O, niech się pani nie fatyguje, my poczekamy. (*Zalotnie*). Skorzystamy tymczasem z miłego towarzystwa pani.

WANDA (*siadając*). Jeżeli tylko panowie nie znudzą się ze mną.

WISTOWSKI. To my raczej powinniśmy się obawiać (*kończy frazes po cichu, nachylając się ku Wandzie*).

PAGATOWICZ (*n. s.*) Co to znaczy wprawa. Idzie mu jak po maśle. Jabym tak, przyznam się, nie potrafił.

WISTOWSKI. Bo to panie wolą zawsze młodszych.

WANDA. Nie zawsze, bo dzisiaj młodzi panowie wcale nie zabawni.

WISTOWSKI. To pani masz zupełną rację. Co to za młodzież dzisiaj! Czy to można nazwać młodzieżą?

WANDA. Takie to skrzywione, znudzone, a wygodnisie, że aż brzydko patrzeć.

WISTOWSKI. Za moich czasów to była młodzież wesoła, grzeczna, ochocza, a od panien, toby ich kijem nie odpędził.

WANDA. A dziś młodzi panowie ledwie odtańczą z pannami kilka razy, jak za pańszczyznę, i zaraz na papierosy uciekają.

WISTOWSKI. A co to przytem grymasów, zanim taki młodzik raczy zaszczycić wieczór swoją obecnością. Nie pójdzie na zabawę, dopóki mu gospodarz wizyty nie złoży, potem jeszcze chce wiedzieć,

jaka będzie muzyka, jaka posadzka, jaka kolacja i ile panien posażnych.

WANDA. Niema to, jak starsi panowie. To też my na pensji, jak tylko była jaka zabawa, tośmy zawsze wołały, jak było kilku starszych panów, bo ci dopiero umieli zabawę ożywić i wszystkich rozruszać,

WISTOWSKI (*ściska ją za rękę*). W imieniu starych zuchów dziękuję pani za to votum pochwalne dla nas.

WANDA. Przecież pan do starych panów liczyć się jeszcze nie możesz: Kto tak wygląda, jak pan, tańczy z takiem życiem...

WISTOWSKI. Tak, dzięki Bogu, trzymam się nieźle, ale latka są — o, są!

WANDA. Ile też naprzykład?

WISTOWSKI. No! Niech pani zgadnie.

WANDA. Czy ja wiem? Może ze czterdzieści.

PAGATOWICZ (*zgorszony odchodzi na bok*). E... już mu kadzić zaczyna.

WISTOWSKI. W łaskawych oczkach pani.

WANDA (*ze zdziwieniem*). Więcej?

WISTOWSKI. I grubo więcej; pięćdziesiątka z okładem — tak, tak!

WANDA. Nigdybym tego nie była powiedziała Pokazuje się, że to lata nic nie znaczą.

WISTOWSKI. Masz pani rację. Dotąd człowiek jest młody, póki jest zdrów i silny (*zbliża się zalotnie*), póki umie zachwycać się tem co piękne, i ma serce wrażliwe na słodkie uczucia miłości....

PAGATOWICZ (*n. s.*) U... tu się już na dobre zaczyna. Nie przeszkadzajmy! Ten pan Henryk przepadł z kretesem! (*odchodzi po cichu na prawo*).

WANDA (*zalotnie*). Czemu pan nie siada?

WISTOWSKI (*czule*). Czy pani pozwoli przy sobie?

WANDA. Bardzo proszę, pan nie pogniewa się, że zajmę się robotą.

WISTOWSKI. O, pani! Będzie mi bardzo przyjemnie.

WANDA. Chcę babci ubrać czepeczek na wieczór *(pokazuje mu)*. Uważa pan — tu się da ryżkę, po bokach — liliowe wstążeczki, bo babcia lubi ten kolor, a tu kokarda — będzie bardzo dobrze. Żeby tylko było na czem upiąć, ułożyć *(ogląda się)*. Babcia tu dawniej miała taką głowę, pójdę poszukać.

WISTOWSKI. Po co pani masz szukać innej głowy, gdy masz moją?

WANDA *(zdziwiona)*. Panbyś pozwolił? Ależ!...

WISTOWSKI. Bardzo proszę — rozporządzaj pani moją głową według upodobania.

WANDA. Czy jabym śmiała tak trudzić pana...

WISTOWSKI. Nie zapominaj pani, że należę do dawnej kawaleryi, dla której grzeczność dla dam była największą przyjemnością. Oddaję moją głowę całkiem pod rozkazy pani.

WANDA. Ale pan taki wysoki...

WISTOWSKI. Wnet się zrobię maleńkim *(klęka)*.

WANDA. Ależ panie, ja nie mogę na to pozwolić.

WISTOWSKI. Ja, pani, przyzwyczajony na kolanach przed płcią piękną.

WANDA. Ha, skoro pan tak grzeczny... *(wkłada mu czepek na głowę)*. Jak panu do twarzy w czepku!

WISTOWSKI. Z ustek pani ta pochwała ma dla mnie bardzo wielką wartość.

WANDA. Proszę się nie ruszać, a muszę zapowiedzieć panu, że to potrwa dosyć długo.

WISTOWSKI. Choćby najdłużej.

WANDA *(przyszywając zmarszczoną falbanę)*. Czy pan bardzo cierpliwy?

WISTOWSKI. Jak baranek.

WANDA. Będę pana tymczasem bawić rozmową, żeby się panu nie nudziło. O czem my to mówili?

WISTOWSKI (*podnosząc głowę*). Że serce...

WANDA. O, kiedy się pan rusza.

WISTOWSKI (*spuszcza głowę*). Że serce nie starzeje się i że zdolne jeszcze pokochać całą siłą.

WANDA (*krzyknęła boleśnie*). Ah!

WISTOWSKI. Co takiego?

WANDA. Ruszyłeś się pan znowu i przez pana się ukłułam.

WISTOWSKI. Gdzie, gdzie? (*bierze ją za rękę*). O! biedny paluszek!

SCENA DZIESIĄTA.
CIŻ i HENRYK.

HENRYK (*wchodzi spiesznie*). Stryju najdroższy!

WANDA (*z krzykiem*) Ah! (*zrywa się i ucieka zażenowana na prawo*).

WISTOWSKI (*wstaje prędko, zmieniony i zły*). A ty skąd się tu wziąłeś?

HENRYK. Prosto ze Lwowa. Byłem w mieszkaniu stryja, ale mi powiedziano, że stryj tutaj i przyszedłem.

WISTOWSKI. Coż tak pilnego?

HENRYK. Chciałem ci, kochany stryju, co prędzej podziękować za radość, jaką mi sprawiłeś swoim listem.

WISTOWSKI (*zimno*). A! (*n. s.*) To się w porę wybrał!

HENRYK. Więc pozwól, kochany stryju.., (*chce go uściskać*).

WISTOWSKI (*zatrzymuje go*). Ależ to była tylko propozycya, życzenie.

HENRYK. Życzenie stryja jest dla mnie rozkazem, do którego nie omieszkam się zastosować.

WISTOWSKI. Niema nic pilnego. Nie masz wcale potrzeby spieszyć się.

HENRYK. Rannego wstania i wczesnego ożenienia, jak mówi przysłowie... więc pozwól kochany stryju... (*chce go uściskać*).

WISTOWSKI (*zatrzymuje go*). Zrobiłem wprawdzie obietnicę, ale z zastrzeżeniem, jeżeli wybierzesz sobie żonę...

HENRYK. Podług twego gustu, to się rozumie. Jestem pewny, że ci się spodoba. Więc pozwól, kochany stryju... (*znowu chce go uściskać*).

WISTOWSKI (*zniecierpliwiony*). Ależ dajże mi spokój święty z tem twojem pozwól i pozwól! Wpadłeś tu, jak bomba, do obcego domu, gdzie cię nikt nie zna.

HENRYK. Spodziewam się, że mnie stryj zapozna.

WISTOWSKI. Innym razem. Teraz właśnie miałem wychodzić (*bierze za kapelusz*).

HENRYK. Wychodzić?

WISTOWSKI. Tak, tak, chodźmy!

HENRYK (*ze śmiechem*). W tym czepku?

WISTOWSKi (*n. s.*) A! bodajcie! (*zrzuca czepek z gniewem*). No chodźmy!

SCENA JEDENASTA.
CIŻ, ONUFRY, DOROTA, WANDA.

ONUFRY. Synowiec jego, mówicie? Brawo! dajcie go tu (*do Henryka*). To pewnie pan, właśnie mi Wanda mówiła.

WISTOWSKI (*niechętnie*). Tak mój synowiec.

ONUFRY. Nigdy nam pan nie wspominałeś, że masz takiego chwackiego synowca.

WISTOWSKI (*j. w.*). Przybył do mnie w interesie, dlatego państwo darują... (*bierze za kapelusz*). Henryku!

ONUFRY. Jakto, odchodzisz pan? I do tego jeszcze chłopca nam zabierasz?

WISTOWSKI. Interesa...

ONUFRY. E, co tam! Interesa nie uciekną! Nagadacie się jeszeze.

WISTOWSKI. Kiedy rzeczywiście musimy...

ONUFRY. Co tu długo gadać? (*zamyka drzwi wchodowe*). Wandziu oddaję ci więźniów pod twoją komendę.

Zasłona.

AKT III.

Ten sam pokój.

SCENA PIERWSZA.

DOROTA, FILIP, *później* ONUFRY.

DOROTA (*do wchodzącego Filipa*). Cóż nie widać jeszcze pana?

FILIP. Ani słychać proszę pani.

DOROTA. Co to jest? On zwykle taki punktualny, a tu już bisko trzecia. Niech Walentowa ma jeszcze dla pana obiad na blasze; zapewne niezadługo nadejdzie. (*Filip odchodzi*). Coś się stać musiało, bo przecież od czterdziestu lat, jak żyjemy ze sobą, jeszcze mi tego nie zrobił, żeby nie przyjść na obiad... (*spostrzega wchodzącego*) Nufciu! Bój się Boga, gdzie ty tak długo siedzisz! Ja czekam i czekam.

ONUFRY (*zarumieniony, w wesołym humorku*). Dorciu kochana, nie gniewaj się, duszyczko! (*całując ją w rękę*), troszeczkę się zaawanturowałem. Byłem, jak się nazywa, na śniadanku (*pod sekretem*) i ululaliśmy się troszeczkę; niewiele — niewiele, tak w sam raz, i szampitrem, jak cię kocham.

DOROTA. Et, Nufciu, psujesz mi się! Już po śniadaniach zaczynasz się włóczyć.

ONUFRY. Raz na parę lat, duszyczko kochana! (*całuje ją w rękę*).

DOROTA. A tu Walentowa obiad przysuwa, odsuwa; będziesz jadł teraz wysuszone, przypalone...

ONUFRY. Dziękuję ci, duszyczko, za obiad, jestem objedzony i opity. Śniadanko było co się zwie. Zgadnij, czem się uraczyłem najwięcej?

DOROTA (*ruszając ramionami*). Czy ja wiem?

ONUFRY (*głaszcząc ją*). Czy też zgadniesz. No? no?

DOROTA (*myśli, po chwili*). E, daj mi pokój!

ONUFRY (*zastępując jej drogę*). No, duszyczko, jak mnie kochasz, zgadnij. Coś, co ja bardzo lubię...

DOROTA. Czy ja wiem? Może zrazy nelsońskie?

ONUFRY. A, jak cię kocham, zrazy... ale jakie! fiu — fiu — z trufelkami, garniturkiem, historjami — powiadam ci, pyszności, przeparadne! Potem były kuropatwy, przeróżne sery, owoce — słowem królewskie śniadanie. I to wszystko, wystaw sobie, kosztem Wistowskiego.

DOROTA. O! Skądże on dziś taki hojny?

ONUFRY (*tajemniczo, z uciechą*). Z okazyi naszej Wandzi.

DOROTA. Wandzi? Nie rozumiem.

ONUFRY (*j. w.*). Oświadczył się o nią.

DOROTA. E!

ONUFRY. Jak cię kocham!

DOROTA. W imię Ojca! Cóż się znowu staremu zachciało!

ONUFRY (*urażony*). Moja Dorciu, naprzód młodszy o wiele odemnie...

DOROTA. To także porównanie! Co ja, to nie Wanda.

ONUFRY. Ależ, Dorciu, uważ sobie, Wistowski gruba ryba... dwie wsie, kamienica w mieście...

DOROTA. Cóż z tego! jak go Wanda nie zechce, przecież jej gwałtem nie wydamy.

ONUFRY. Uchowaj Boże! Ale widzisz, mnie się wszystko zdaje, że ona nie będzie od tego. Uważałaś, że od pierwszej chwili Wistowski jakoś przypadł jej do gustu. Ciągle nim zajęta, taka uprzedzająco grzeczna... Wczoraj np. cały wieczór prawie tylko z nim rozmawiała.

DOROTA. To prawda.

ONUFRY. Choć miała młodszego, tego jakiegoś tam bratanka.

DOROTA. Z tym prawie nic nie mówiła.

ONUFRY. A widzisz! Dziewczyna ma rozum, to... to...

DOROTA. Ha, gdyby taka była wola Boska (*siada*).

ONUFRY (*siada obok niej*). Toby było bardzo dobrze, prawda? Nie potrzebowalibyśmy się z Wandzią rozłączać, byłaby tak bliziutko nas.

DOROTA. Pewnie, jak w domu.

ONUFRY. Wychowywalibyśmy sobie ich dzieci...

DOROTA. Jeżeli będą!

ONUFRY. Ale będą, z pewnością! Cóż ty sobie myślisz? Wistowski, chłop nie od parady (*bierze ją za rękę i mówi z uciechą*). Prawnuczęta!... Słyszysz matka, coby to była za radość doczekać się prawnuka. O, bo koniecznie musi być chłopiec!

DOROTA. Mój Nufciu, co Bóg da...

ONUFRY. O nie, chłopiec koniecznie. Z góry to zapowiem Wistowskiemu, że chcę koniecznie chłopca! Wykierujemy go panie na jakiego wielkiego inżyniera.

DOROTA. To przecież lepiej na doktora.

ONUFRY. E... doktorów teraz jak śmieci.

DOROTA. Niech sobie będzie, ale zawsze co doktor to doktor.

ONUFRY. Wielki mi honor całe życie pulsa

macać i języki oglądać, gdy tymczasem inżynier... toż oni teraz panami świata, robią z naszą świętą ziemią, co im się tylko żywnie podoba. Morza sobie przenoszą, panie, jak nic, góry przebijają kolejami, jak postronkami, powiązali wszystkie kraje, no, i robić tu z takim co! Mocarze, panie — jak Boga kocham, mocarze! A tu nasz prawnuczek zostanie dyrektorem kolei, albo żeglugi balonowej, albo kto wie, czego oni jeszcze nie wymyślą.

DOROTA. Gadaj ty sobie co chcesz, ja tam na żadnego inżyniera nie przystaję; będzie doktor i koniec.

ONUFRY. Prędzej mnie tu włosy wyrosną! (*pokazuje na dłoń*). Żeby tam nie wiedzieć co...

DOROTA. Nie będzie.

ONUFRY. Będzie.

DOROTA. Przecież tu nie ty rozstrzygać będziesz, tylko Wandzia, a ona z pewnością będzie za doktorem.

ONUFRY. Kto, Wandzia? To jej nie znasz dobrze. Jabym przysiągł, że będzie wolała inżyniera.

DOROTA (*wstaje trochę zirytowana*). A ja ci mówię, że nie.

ONUFRY (*wstaje także*). A ja ci mówię, że tak.

DOROTA. Nie, nie, nie.

ONUFY. Tak, tak, tak! (*chodzą oboje zirytowani*).

SCENA DRUGA.

CIŻ, WANDA *z prawej.*

WANDA (*z uśmiechem*). O cóż taka żarliwa sprzeczka?

ONUFRY. A, otóż Wanda? (*bierze ją za rękę*). No, powiedz sama, cobyś wolała: czy żeby twój...

DOROTA (*dając mu znak, aby nie mówił dalej*). Nufciu!

ONUFRY *(zatyka usta, n. s.)*. A tobym był bąka strzelił! Przed panną przecież nie można.

WANDA. O cóż chodzi?

ONUFRY. E nic, nic! — Takeśmy się z babcią zagalopowali.

WANDA. W czem?

DOROTA. E, to ciebie nie obchodzi! dziadek, jak zwyczajnie, bredził.

ONUFRY. Moja Dorciu, bardzo proszę.

WANDA. Jak widzę, to państwo mają jakieś tajemnice przedemną.

DOROTA. Ale żadne tajemnice...

WANDA. Przysięgłabym, żeście tu coś o mnie mówili!

ONUFRY. Ależ gdzie zaś!

WANDA. No niech mi dziadzio spojrzy w oczy. A co? nie mówiłam?

DOROTA. No, mówiliśmy o-o-o twojej przyszłości.

ONUFRY. Prawda, a propos przyszłości *(kiwa na nią)*. Chodźno tu, Wandziu, siadaj!

WANDA *(żartobliwie)*. O! Coś będzie bardzo poważnego, bo dziaduś ma taką oficjalną minę.

ONUFRY *(siląc się być serjo)*. Tylko bez tych żartów, bardzo proszę!

WANDA *(prostując się)*. Będę okrutnie poważna. No, słucham!

ONUFRY *(chce mówić, po chwili)*. E! Kiedy mnie całkiem zbiła z tropu temi błazeńskiemi minami.

DOROTA. Kiedy ty, Nufciu, za dużo robisz ceregieli! *(siada z drugiej strony Wandy)*. Widzisz, idzie tu poprostu o to...

ONUFRY. Chcesz iść za mąż, czy nie?

WANDA *(filuternie)*. To zależy od tego, za kogo.

DOROTA. Za Wistowskiego.

WANDA (*zrywając się ucieszona*). O! Więc oświadczył się już?

ONUFRY. Dziś właśnie, hm, i cóż ty na to?

WANDA (*z udaną pokorą*). Ha, jeżeli dziadkowie tego życzą — to — to ja najchętniej...

ONUFRY. A co! Widzisz matka, nie mówiłem? Ona na to, jak na lato.

DOROTA. Chwała Bogu! To już widocznie przeznaczenie.

ONUFRY. No, więc rzecz załatwiona; niema już o czem mówić. On tu niedługo przyjdzie, to sobie dopowiecie resztę. A teraz dajcie mi się chwilę przedrzymać, bo ten szampiter strasznie mnie jakoś rozebrał. Dorciu, a może i ty małego szlumerka? Toć to nasza godzina!

DOROTA. Choć oczy zmrużę na chwilę.

ONUFRY (*do Wandy*). Przeproś ty swojego Wistowskiego za nas. Myślę, że nie będzie się bardzo gniewał, że was samych zostawiamy (*szczypie ją w policzek*). Ej! ty, bałamutko jakaś! No, pa!

DOROTA (*całuje ją*). Mój ty robaczku złoty.

ONUFRY. No, matka!

DOROTA. Idę, idę! (*wychodzą na prawo*).

WANDA. Więc Henryk się oświadczył? A nic mi wczoraj o tem nie mówił. Przecież powinien był przynajmniej dla formy zapytać się, czy pozwalam. Ci mężczyźni, jak się tylko dowiedzą, że są kochani, to im już zdaje się, że mogą z nami robić, co im się tylko podoba. O, nic z tego. Trzeba będzie panicza wziąć krótko, boby potem za wiele sobie pozwalał! (*Po chwili*). Toż to Helenka się zadziwi, jak się dowie, że już po wszystkiem.

SCENA TRZECIA.

WANDA, HENRYK.

HENRYK. Czy wolno?

WANDA (*zadąsana*).

O, teraz, to się pyta! Myślałby kto, że taki nieśmiały! A o co innego, toś się pan nie pytał czy wolno?

HENRYK *(zdziwiony)*. O co innego?

WANDA. Jak to udaje, jakby o niczem nie wiedział! Niepotrzebne udawanie! Dziadek mi już mówił...

HENRYK. O czem?

WANDA. Ah, co to za obłudni ci mężczyźni. To pan już zapomniał, o czem mówiłeś dzisiaj z moim dziadkiem?

HENRYK. Kiedy ja dziadka nie widziałem!

WANDA. Przecież dziadek mówił, żeś mu się pan oświadczył o mnie!

HENRYK. Mówił, że ja?

WANDA. No tak, Wistowski.

HENRYK. A tak, Wistowski, ale nie ja, tylko mój stryj!

WANDA *(oburzona)*. Co?!

HENRYK. Właśnie dlatego tu przychodzę, bo dziś dowiedziałem się, że mój stryj ma się żenić. Nie wiedziałem tylko z kim, ale z tego, co mi pani mówisz, widzę, że chce z panią!

WANDA *(na pół z płaczem i oburzeniem)*, Cóż ten stary sobie myśli, że jabym poszła za niego? Za nic w świecie! Niech mi się tylko ośmieli wspomnieć o tem, to mu nagadam takich impertynencji, że popamięta...

HENRYK. I pogniewa się na panią na wiek, wieków, a wtedy z naszego małżeństwa nic.

WANDA. To prawda. Boże, Boże, co tu robić? *(chodzi)*. No radźże pan przecie! Od czegożeś pan mężczyzną? Panu przecież także powinno zależeć na tem, żebym nie została pańską stryjenką!

HENRYK. O to nie ma obawy, bo przecież dziadkowie nie zmuszą pani do małżeństwa.

WANDA. Spodziewam się.

HENRYK. Idzie więc tylko o to, jak wyperswadować stryjowi ten niedorzeczny zamiar; trzebaby delikatnie, żeby go nie obrazić i skłonić w końcu, aby nam dał swoje zezwolenie.

WANDA. Ale jąk zrobić?

HENRYK (*myśli po chwili*). A! Mam doskonałą myśl.

WANDA. Co takiego? (*słychać za sceną chrząkanie Pagatowicza*).

HENRYK. Wszak stryj pisał mi...

WANDA. Ktoś idzie, może on? Uciekajmy!

HENRYK. Ale gdzie?

WANDA (*wskazując na lewo*). Do mego pokoju. Chodźmy (*bierze go za rękę*).

HENRYK. Opowiem pani mój plan (*wychodzą na lewo*).

SCENA CZWARTA..

PAGATOWICZ, *później* WISTOWSKI.

PAGATOWICZ. No, doskonały mam sposób na Burczyńskiego (*wydobywa papiery*). Zrobiłem formalny zapis całego majątku na rzecz Helenki; to go powinno przekonać, że nie czyham na jego majątek i że się żenię jedynie z czystej miłości (*siada, do wchodzącego Wistowskiego*). A i pan ciągle tutaj? Brawo, brawo!

WISTOWSKI (*elegancko ubrany, mina zadowolona*). No i cóż pan na to, panie Pagatowicz, wstępuję w pańskie ślady!

PAGATOWICZ. Słyszałem, słyszałem i winszuję (*podaje mu rękę*). Socius doloris, chciałem powiedzieć, amoris.

WISTOWSKI (*siadając*). Przyznam się panu, że z początku nie miałem wcale tego zamiaru, ale poznawszy pannę bliżej... To fenomen panna!

PAGATOWICZ. Tak samo, jak moja Helenka.

WISTOWSKI. Bo choć młoda, ale rozsądna nad wiek.

PAGATOWICZ. I do tego z pensji, to wiele znaczy.

WISTOWSKI. Tak, da się łatwo pokierować. A jak gra w karty, no, to satysfakcja prawdziwa!

PAGATOWICZ. Prawda, nie pytałem się jeszcze Helenki, czy ona także grywa.

WISTOWSKI. A powinieneś ją pan koniecznie do tego namówić. Co to za przyjemność mieć partnera w domu pod ręką. Nieraz paskudna zadymka, że psa ciężko wygnać, a człowiek musiał wyjść, żeby gdzie jako tako zabić wieczór. A teraz, jak się będzie miało w domu młodą żonkę, to się ani pomyśli o wychodzeniu. Ogień na kominku, herbatka, partyjka, coś owoś... O, małżeństwo ma swoje dobre strony!

PAGATOWICZ. A widzi pan, na mojem stanęło!

WISTOWSKI (*przechadza się rozpromieniony, nuci półgłosem :*

Tam na polu zawierucha
Mokrym śniegiem dmie,
Na kominku ogień bucha...

PAGATOWICZ. A cóż kuzynek na to wszystko.

WISTOWSKI. A cóż mnie to obchodzi, co on powie. Byłbym chyba ostatnim głupcem, gdybym, mogąc sam pracować dla utrzymania rodu Wistowskich, wyręczał się kim innym.

PAGATOWICZ. No, a obiecanka zapisu.

WISTOWSKI. To mnie do niczego nie obowiązuje. Obiecałem, że mu oddam majątek, jeżeli się ożeni z panną, która mnie się spodoba.

PAGATOWICZ. No tak!

WISTOWSKI. Ale teraz, skoro się żenię z panną Wandą, ręczę, że mi się żadna niespodoba.

PAGATOWICZ. A prawda, doskonała furtka!

WISTOWSKI. Bliższa koszula ciała.

PAGATOWICZ. Tak! Prima charitas ab ego... (*wchodzi Wanda*).

WISTOWSKI. A, otóż ona! Zmiłuj się pan, zostaw nas samych, bo chciałbym...

PAGATOWICZ. Nie potrzebujesz się pan tłómaczyć, my zakochani rozumiemy się dobrze (*ściska mu rękę do siebie*). Pójdę i ja poszukać mojej ślicznotki (*odchodzi na prawo*).

SCENA PIĄTA.

WISTOWSKI, WANDA *z lewej*.

WISTOWSKI. O, coś panna Wanda dziś taka zasępiona, smutna!

WANDA. Czy to zawsze można być wesołą? (*siada*).

WISTOWSKI (*siada obok*). To prawda. Ale jeżeli kiedy, to dziś pragnąłbym widzieć panią weselszą.

WANDA. Dlaczegóż właśnie dzisiaj?

WISTOWSKI. Bo to dla mnie dzień niezwykły, uroczysty.

WANDA. Może imieniny?

WISTOWSKI. Stokroć więcej: dziś dzień mojego odrodzenia.

WANDA. Odrodzenia?

WISTOWSKI. Tak! Ten dawny Wistowski już nie żyje... Umarł razem ze swojemi uprzedzeniami, błędami, a urodził się zupełnie inny człowiek, który wierzy, kocha, spodziewa się, bo znalazł cel życia... Słowem, stoi przed panią całkiem nowy człowiek.

WANDA (*wstaje i kłania się*). Bardzo mi miło poznać nowego pana Wistowskiego.

WISTOWSKI (*ucieszony*). He, he, figlarka z pani! (*ściska ją za rękę*). Otóż taką panią lubię i oddałbym Bóg wie co za to, aby panią widzieć zawsze szczęśliwą i uśmiechniętą.

WANDA. Cóż panu zależeć może na mojej wesołości?

WISTOWSKI. Co zależy? Czyż Wistowski może być szczęśliwy, gdy pani jesteś smutna?

WANDA. Pan sobie żartuje ze mnie!

WISTOWSKI (*zapalając się*). Jak honor kocham, prawdę mówię. Pani formalnie oczarowałaś mnie, odmieniłaś do niepoznania, (*czule*) zachwyciłaś.

WANDA (*z udaną skromnością*). Ja sobie taka zwyczajna istota! Boże kochany! Cóżby we mnie mogło się panu podobać.

WISTOWSKI (*j. w.*). Co? Wszystko! Ja nawet nie wiem, komuby się pani mogła nie podobać.

WANDA. Panu pierwszemu (*rzuca ukradkowe spojrzenie na Henryka, który wyszedłszy z lewych drzwi niepostrzeżenie stoi za Wistowskim*).

WISTOWSKI. Mnie? (*wstaje uroczyście*). Przysięgam pani, że jeszcze żadna kobieta w życiu tyle mi się nie podobała, co pani!

WANDA (*podaje mu rękę z żywą radością*). O! Dziękuję panu za to zapewnienie.

SCENA SZÓSTA.
CIŻ I HENRYK

HENRYK (*biorąc go za drugą rękę*). O! Dzięki ci, stryju najdroższy!

WISTOWSKI. A ty za co mi dziękujesz?

HENRYK. Za to, coś powiedział przed chwilą, że panna Wanda ci się tak podoba.

WISTOWSKI (*niecierpliwie*). Cóż ciebie to obchodzić może? Co się ty tu wtrącasz do tego?

HENRYK. I bardzo obchodzi, bo w takim razie nie będziesz miał nic przeciw mojemu małżeństwu!

WISTOWSKI (*j. w.*). Jakiemu małżeństwu? Z kim?

HENRYK (*z uśmiechem*). No, z tą oto, tu przytomną.

WISTOWSKI. Zwarjowałeś!

HENRYK. Czy dlatego, że ją kocham?

WISTOWSKI. No, formalny warjat! Panno Wando! Powiedz mu sama! Pierwszy raz cię widzi...

WANDA (*spuszczając oczy*). Znamy się już od roku.

WISTOWSKI. Co? Gdzie?

WANDA. Na pensji; był moim nauczycielem muzyki.

WISTOWSKI. To panią ślicznie uczył.

HENRYK. Mam słowo stryja, list...

WANDA. A mnie pan mówiłeś przed chwilą, że pragnąłbyś mnie widzieć szczęśliwą — a będę nią w zupełności, gdy mi będzie wolno kochać pana, jako stryja mego męża.

WISTOWSKI. Tak! Zamieniał stryjek za siekierkę kijek!

HENRYK (*biorąc go za rękę*). Stryju najdroższy!

WANDA. Jabym także chciała powiedzieć „stryju najdroższy", ale nie wiem, czy pan pozwoli.

WISTOWSKI. Oo! Jaka to teraz nieśmiała. Trzeba się było pierwej pytać o pozwolenie (*uśmiechając się*), ty, ty bałamutko mała!

WANDA (*biorąc go za rękę*). Więc zezwalasz pan?

WISTOWSKI. Ha, coż mam robić, kiedyście mnie tak podeszli!

HENRYK. Stryju najdroższy! (*ściska go*).

WANDA (*całując go w rękę*). Będziesz pan miał we mnie stałego partnera do wista.

WISTOWSKI (*n. s.*). Wolałbym do marjaża, ale cóż robić?

SCENA SIÓDMA.
CIŻ, ONUFRY, DOROTA, PAGATOWICZ.

ONUFRY. No cóż, porozumieliście się ze sobą?

WANDA (*tuląc się do Henryka*). Zupełnie!

ONUFRY. A to co znaczy? Panie Wistowski?

WISTOWSKI (*udając nieświadomego*). Co takiego?

ONUFRY. Przecież mnie pan dziś najwyraźniej prosiłeś o rekę Wandzi...

WISTOWSKI. Dla mego synowca...

ONUFRY. Synowcą? Patrzcie państwo! A ja myślałem... Co to szampiter nie może...

WISTOWSKI. I uniwersalnego spadkobiercy mojego.

DOROTA. Chwała Bogu, że się tak stało. Zawsze, co młodszy, to młodszy.

PAGATOWICZ (*do Wistowskiego*). Jakżeż się to stało. Przecież mi pan najwyraźniej mówiłeś...

WISTOWSKI (*maskując zawstydzenie*). Tak się tylko mówiło! Pan wiesz dobrze, że ja nie byłem nigdy zwolennikiem małżeństwa!

SCENA ÓSMA.
CIŻ, BURCZYŃSKI, HELENA.
(*ubrani, wchodząc z ulicy*).

HELENA (*wchodzi pierwsza prędko*). Czy jest tu pan Pagatowicz?

PAGATOWICZ (*zwraca się do niej*). Jestem, jestem!

HELENA (*chwytając go uradowana za rękę*). Ah, nie uwierzysz pan, jak jestem szczęśliwa! Tatko nareszcie dał się uprosić i pozwolił.

PAGATOWICZ (*z radością*)? Pozwolił? (*do Burczyńskiego*). Poczciwy ojczulek, no zmiękłeś przecie! (*ściska go za rękę*).

BURCZYŃSKI. Ha, cóż miałem zrobić? Dziewczyna mi beczy po kątach, chodzi ze spuszczonym nosem... Myślę sobie, pal was sześć, dla miłego spokoju!...

PAGATOWICZ (*wzruszony*). Nie będziesz żałował tego, zobaczysz! Nie zawiedziesz się na mnie.

BURCZYŃSKI. Tytko żebyś jej dogodził, żeby mi się potem znowu nie krzywiła!

PAGATOWICZ (*j. w.*) Przecież mnie znasz nie od dzisiaj!

BURCZYŃSKI, Wiem, wiem, że ty do babskich interesów jedyny — więc ile to tam łokci tego będzie potrzeba?

PAGATOWICZ. Łokci? Jakich łokci?

WISTOWSKI (*z wzrastającem zdziwieniem*). Metrów? Panno Heleno?

HELENA. Jak pan myślisz? Mnie się zdaje, że trzydzieści łokci powinnoby wystarczyć.

BURCZYŃSKI. Co, co? Trzydzieści łokci? W imię Ojca... A ileż ty sukni myślisz sprawiać?

HELENA. Jedną, tatuńciu!

BURCZYŃSKI. No, i trzydzieści łokci — zwarjowałaś!

HELENA. Przecież się tyle bierze. Pagatowicz, wytłómaczże pan to ojcu! Przecież potrzeba na bufy, na ogon...

BURCZYŃSKI. A tobie to na co?

HELENA. Taka moda teraz.

BURCZYŃSKI. Do licha z taką modą! Czy to słyszana rzecz, panie dobrodzieju, żeby pannie w tych latach zachciewało się już chodzić w jedwabnych sukniach?

PAGATOWICZ (*przybity*). To jej się tego zachciewało a ja, osieł, myślałem...

WANDA. Przyda się jej, jak raz, na moje wesele.

BURCZYŃSKI Co... co? Wesele? Co wy, dziewczęta, wyprawiacie za historje?

WANDA (*przedstawiając Henryka*). To mój narzeczony.

ONUFRY. Tak, tak! Taki majster dziewczyna! Na poczekaniu sobie chłopca wywinęła!

BURCZYŃSKI (*do Heleny*). I możeby miała jeszcze Helenę namówić?

HELENA. Niech się tatuńcio nie boi, ja poprzestanę na jedwabnej sukni.

WISTOWSKI (*do Pagatowicza, ruszając nim*). Pagatowicz! Przyjdźże pan do siebie, nie kompromituj się! Powinieneś pan być kontent, żeś uratował swoje kawalerstwo.

PAGATOWICZ (*żałosnym głosem*). A mówiłeś pan, że one wszystkie mają apetyt na grube ryby!

WISTOWSKI. No, niema reguły bez wyjątku!

HELENA (*której przez ten czas ojciec dawał pieniądze*). Panie Pagatowicz, oto są pieniądze, próbka! Teraz już pan możesz jechać.

ONUFRY (*patrząc na Pagatowicza*). A tobie co Pagatosiu? Co ci się stało?

WISTOWSKI. Nic — nic, to katar żołądka.

ONUFRY. Morison — niema, jak morison na takie rzeczy!

KURTYNA.